

1919

MARZEC

ZESZYT 5



ZDRÓJ

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY SZTUCE I KULTURZE UMYSŁOWEJ :: :: ::

Nakładem Spółki Wydawniczej „OSTOJA” w Poznaniu. — Pod kierownictwem JERZEGO HULEWICZA.
ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: „Ostoja” Poznań — Plac Wilhelmowski 17. :: :: ::

ZASTĘPSTWO REDAKCJI: Jan Śliwiński, Warszawa, ulica Flory 9.

SKŁAD GŁÓWNY NA KRÓLESTWO POLSKIE: Wende i Sp., Warszawa, Krakowski Przedmieście.

Prenumerata roczna (na pocztę) — 72 marek, półroczna — 36 marek, kwartalna — 18 marek.

Zeszyt pojedynczy 4 marki. — **Przesyłka pod opaską** 15 fen. za zeszyt.

OGŁOSZENIA: Cała strona — 150 mk., pół strony — 80 mk., ćwierć strony — 45 mk., jedna ósma strony — 25 mk.

Administracja uwzględni wypowiedzenie prenumeraty tylko na dni 14 przed upływem każdego ćwierćrocza.

ADMINISTRACJA otwarta codziennie od godziny 11-tej do 1-szej i od godziny 3-ej do 7-ej.

OD REDAKCJI: Rękopisy zwraca się po nadesłaniu kosztów przesyłki. — **Odpowiedzi na listy** za nadesłaniem marki pocztowej. — **Rękopisy bez nazwiska autora** i wyraźnego adresu niszczą się bez czytania. — — — **Redakcja** nie wchodzi w dyskusję na temat nieprzyjętych rękopisów ani nie podejmuje się żadnych ocen tychże.

„OSTOJA” Spółka Wydawnicza

w Poznaniu, pl. Wilhelm. 17

Telefon 5100

Opuściło prasę najnowsze wydawnictwo nasze p. t.

W przededniu nowych zadań

zbiór studiów o polskich zagadnieniach gospodarczych.

Zawiera prace następujące:

- T. Adamczewski — Przyszły Bank bilowy w Polsce
Dr. St. Pernaczynski — O emi i not ziemskich
Dr. Z. Karpiński — Rola złota w polityce walutowej przyszłego Banku Polskiego
Dr. E. Rose — Król. Polskie a Galicja — Drogi zbliżenia gospodarczego
Stefan Haupa — Polityka komunalna w Królestwie Polskiem
Konstanty Zachert — Zagadnienia polityki drzewnej w Król. Polskiem
Dr. St. Wachowiak — Wychodźstwo wstalsko-nadrenskie a reemigracja
Paweł Spandowski — Pod adresem przyszłego prawa polskiego o towarzystwach akcyjnych
Dr. Marjan Głowacki — Przedsiębiorstwa ubezpieczeniowe na ziemiach polskich i znaczenie ich dla gospodarswa narodowego
Stanisław Marciniak — Wpływ wojny na finansowe położenie rolnictwa w Wielkiem Ks. Poznańskiem.

Cena mk. 10.—



„BIBLIOTEKA ZDROJU”.

Cena tomu 2 mk.



RZECZY PIĘKNE

miesięcznik poświęcony architekturze, rzeźbie, malarstwu, ochronie zabytków, kościelnictwu i rzemiosłu.

Kraków, ulica Smoleńska 1. 9.



ROK 3

MARZEC 1919

TOM VI

ZESZYT 5

OGÓLNEGO ZBIORU ZESZYT 35.

REDAKTOR I KIEROWNIK ARTYSTYCZNY JERZY HULEWICZ.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: ZDRÓJ — POZNAŃ PLAC WILHELMOWSKI 17.

TREŚĆ: Na marginesie Zdroju — Jerzy Hulewicz. Demeter — Jarosław Iwaszkiewicz. Obywatele — Zdzisław Kleszczyński. Cztery prawdy dostojne — Ananda Maitriya (spolszczyła W. H.). Gwiazdy spadają — Marja Zabojecka. Literatura raska — Franciszek Rawita-Gawroński. Ostatni dźwięk — J. H. Miscellanea.

RYCINY: Drzeworyty oryg. — Małgorzata Kubicka I, II i III. Stanisław Kubicki: Władysław Skotarek, Stefan Samaj, J. Wroniecki. Rysunki I i II — Eli Nadelmann.

NA MARGINESIE ZDROJU

JERZY HULEWICZ

Pocóż gniewu tyle i wszelkiej nienawiści?!

Idziem przed się i szukamy.

Kto szukać pragnie, bieży z nami, alboli z innymi, którzy również szukają.

Któż z nas odnalazł, czego szuka? Wszelako ku celowi swemu przybliżył się nieco ten, który szuka, albowiem z wieczności zdźbło niejedo jego stało się udziałem.

Kto zasię mniema, iż odnalazł prawdę, albo prawdę głosi, ten w błędzie jest nie szukając; alisci w mniejszym błędzie jest ten, który szuka, chociażby błdził.

„... zbawienniejsze z własnego postanowienia gorzki zerwać owoc, aniżeli za cudzą przyczyną słodkiego owocu na drzewie — poniechać.

Nie czyń, jako czyni wielu, iż napisano: „Doświadczajcie wszystkiego, a zachowajcie, co najlepsze“ — lecz niczego nie doświadczają i — cobądź sobie przyswajają“.

Poszukiwania mamy cel wyraźny.

Z politowaniem tedy poglądamy ku wam, których niepokoiimy wielce pracą naszą, iż to daremno wołacie ku nam głosem przyziemnym, iżbyśmy poniechali naszych poszukiwań, gdyż wszystko znane jest wam i dobrze przyuczone.

Nie gniewajcie się tedy, gdy odpowiadamy wam, iż w błędzie trwacie, czcząc to, co wiecie, gdyż — choćby nawet Prawdą, przez nas poszukiwaną, były bałwany wasze — to jednak nie to jest naszym celem, jeżeli nie jest przepione żarem miłości.

Wszystka walka nasza jest walką o większe cele, niżli wasze, które to przyziemnymi oceniamy i celami chwili.

Czy to o „widzącą wiarę” w Bóstwo zmagając się z ciasnymi formułami skarlonego zewnętrzną cnotą człowieka, czy o wolność sumienia i słowa z molochem społecznym, borykając się uparcie, czy o najszerszą Narodu ideję, którą w spuściznie przekazali nam wieszcz nasi, a którą narodowa słabość powszednim celom pragnie uczynić usługą, czy wreszcie walcząc o dostojęstwo Sztuki, której uragać ma dzisiaj prawo pierwszy lepszy życia powszedniego przechodeń — ku celowi naszemu idziemy, mimo protesty wasze, złorzeczenia i skargi.

Przec nie waszego głosu nam słuchać, gdy usłyszeliśmy głos człowieczego i narodowego geniuszu, który objawił się po tyle kroć w najpierwszych Duchach w Narodzie!

Zamilknijcie więc, a wysiłek wasz skierujcie raczej ku poszukiwaniu tego, co wam jest tajemne — a tego bardzo jeszcze jest wiele.

Nie gniewajcie się, jeżeli w tem lub owem prześcigamy was, albo gdy w tem lub owem nie doganiamy was; a zwłaszcza nie gniewajcie się, jeżeli nie doganiamy was w sztuce codziennego życia, która czyni zadość dostojęstwu osobistemu. Nasza w tem szkoda na dzień dzisiejszy, a na przyszłość nasz dorobek. Wyrównanie samo znajdzie się według istniejącego prawa konieczności.

To też słusność miał jeden z naszych przyjaciół z ducha, gdy wam rzucił w oczy, że i my mamy prawo do siebie powiedzieć: „A jednak po nas zostanie ta siła fatalna...” W tem oto nasz dorobek w przyszłości — a w poklaskach ulicy — wasz na dzień dzisiejszy.

Tu oto tylko różnica między nami...

Że sprzeciw podnosicie naszemu Zakonowi z Ducha, nie dziwno i nie straszno.

Wy, którzy ułożyliście się wygodnie w wyleżałym przez praojców posłaniu, snu zażywacie i w śnie przeżuwacie podany wam pokarm gotowy, iżby nowym się nie trudzić — ani inaczej czynić możecie, nie czyniąc nic dla zdobyczy ducha, ani nam groźni być możecie, jako nie jest groźny nawet olbrzym i siłacz — gdy śpi.

Poniechajcie tedy próżnej swawoli, dla sprzeciwu naszej wierze. Jedną tylko przyjmijcie admonicję: uszanujcie wierzenia nasze, które z Ducha są i tylko Duchowi w celach swoich służą, jako szanujecie wierzenia własne, które ach! raczej przemilczmy ich pochodzenie i cel ich...

Tak więc nie dla was poniższe rozmyślenia, ani dla tych, którzy przez poszukiwanie w zło wejść mogą, kiedy to całym ich puklerzem — pajęcza siatka zaginionego dawno gdzieś pajaka waszych czczych dogmatów życia. Tym, co wespół z nami szukają ździebeł wieczności, tym co nie cofają się przed walką z Aniołem, tym przyjaciółom z Ducha podajemy rozmyślenia nasze, które im mają być współgłosem w ich duchowych pogwarach „choćby miały skazę i niedostateczność”, jako że „celom ostatecznym” zwrócone są.

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ

DEMETER

KAROLOWI SZYMANOWSKIEMU

1.

Makiza de Champ'darras zaproponowała wycieczkę do ogrodu Hesperyd. Coprawda, murzyn Ibrahim (ten, chrześniak Piotra Wielkiego) skrzywił się na to nieco, bo miał zadosyć swej gnanej ojczyzny, a i markiza de Chèvrefeuilles miała coś przeciwko temu. Nie można się też było zdecydować na smoki. Srebrne były za lekkie, a czerwone miały nie jechać markiza de Chableu, — gdyż w czerwieni nie było jej do twarzy; miała błękitne włosy, jak oczy głuchego kota.

Zdecydowano więc, że markiz Kupidynek pójdzie do swej matki Venus poprosić o pożyczenie rydwanu, zaprzęzonego w gołębie, w którym całe towarzystwo mogłoby się wygodnie umieścić — obiecano za to Wenerze, że noc przed wycieczką spędzą parami w złotych sypialniach markizy de Champ'darras. Ale Ganimed, co był wówczas u Venus w gościnie, zażądał, aby dwóch panów zbywających, również spędziło tę noc w jednej ze złotych sypialni. Towarzystwo przyjęło to z aplauzem i poczęto ciągnąć losy: wypadła markiza de Champ'darras z Ibrahimem, markiza de Chèvrefeuilles z markizem du Bailly, markiza de Chableu z markizem du Bâti, markiza Chachyphrogne z markizem de Pomme de st. Loup — a pan de Berry z markizem Kupidynek.

Markiz Kupidynek, zerkając ku markizie de Chachyphrogne, stanowczo przeciw temu zaprotestował, mówiąc, iż losowanie odbyło się nieregularnie i że on się wcale na wycieczkę nie zgadza. Poczęto mu tłumaczyć, iż wchodzi tu w grę obraza jego matki — ale on o niczem nie chciał słuchać.

Wobec tego zawiązała się wkolo całej sprawy intryga niezwykła: markiza de Chèvrefeuilles użyła swego wpływu na Herę — a markiz de Pomme de st. Loup posłał do Ganimeda bilet wizytowy, gdzie była wyobrażona kobieta z kubkiem (jako żywe Hebe) i wspominał mu w nim o przeszłości, o zazdrości Hery i fantastycznym zlocie z Olimpu na Padół kijowski. Nareszcie po czterogodzinnem telefonowaniu sprawa się skończyła. Markiza de Chèvrefeuilles schrypyła i nie mogła śpiewać bergerettek, chociaż to była obiecała całemu towarzystwu, a głównie Ibrahimowi, a przytem niemożliwie bolały ją nogi, bo rozmawiając z Herą przez telefon ustawicznie czyniła dworskie dygi, jak to nakazywała owoczesna etykieta.

Ostatecznie Hera obiecała przysłać nazajutrz rano swoje dwa wozy, zaprzężone w pięćdziesiąt pawie — z tych, złotych z rubinami i białą emalią, co jej ofiarowali Jazon i Medea; markiza przymaiała się do liljowych, które wybornie pasowałyby do jej bursztynowych oczu, ale Hera udala, że przymówki nie rozumie: bała się ogromnie o cenną amethystową emalię piór. Co zaś do Venus, to ta nie odstąpiła od swego planu — jedynie zgodziła się na to, by pan¹du Berry i markiz Kupidynek nocowali w dwóch osobnych złotych sypialniach, na co bliżny Onan uśmiechnął się pod wąsem; lecz Venus go zgromiła, nazwała grubjaninem, i powiedziała, że nie rozumie się na prawdziwym interesie.

To też w dzień wycieczki towarzystwo wyświeżone i wesołe zebrało się na dole w krągłym saloniku „złotych ust“ — gdzie oczekiwano na pawie. Dwie murzynki i dwie honolulki roznosiły fioletowe lody, różę maréchal le Niel i czerwone winogrona.

Markiza de Chachyphrogne słodko się uśmiechała do swego towarzysza, na co marszczył się markiz Kupidynek — co zresztą nie należało do jego zwyczaju — i raz po raz poprawiał śmietankowy żabot, przebity złotą strzałą.

Zagrały w drzwiach kuranty menueta Muffata, co było znakiem, że rydwan gotowe i udano się szklanymi schodami na taras wysadzany blawatkami, gdzie już błyszcząc w słońcu pofruwały pawie.

Za chwilę w bladym seledynie nieba rozpoczęła się lot w zorzę wschodzącego słońca: chmury mijając rydwan zostawiały na nim skrzyśte desenie śniegowych kryształów — a różowe tło zorzy było wyhaftowane w szlaki drobnych, jak baranki wełniatych obłoków.

Gdy lot się zniżył — ujrzeli granicę, białą od piany, ciemno-szmaragdowego morza i niebieskim lazurowym piaskiem pokrytej Sahary. Lekko falista równia pagórkami czyniła ciemniejsze cienie na matowym, jak sukno électrique kolorze pustyni — a rzadkie, sterzące ciemnoszafirowe liście fantastycznych roślin dla podróżnych nie były jeszcze widzialne.

Zwolna na horyzoncie, jak wielka skala, symetrycznie ociosana, powstało ogrodzenie hesperydkiego ogrodu: niby wielka ciemna nawa, błyszcząca na lazurowym morzu piasku. Zbliżywszy się, ujrzeli wysokie, szarpami podparte ogrodzenie z wielkich płyt zielonej porcelany. Wzdłuż gzymsu wisiały szeregiem jak frendzle złote dzwoneczki, które wygrywały melodie japońskie — a w pośrodku wysokości, wykuszem w ścianie zrobionym, niezbyt szerokim, szła procesja długa młodzieńców nagich, z przewianami czerwoną jedwabną chustką oczyma. Trzy-

mając się jedną ręką ściany, szli oni z wolna robiąc trzy kroki naprzód, a dwa w tył; a doszedłszy do miejsca, gdzie się wykusz wobec bramy urywał — cofali się w ten sam sposób, robiąc trzy kroki w tył, a dwa naprzód.

Koła wozu otarły się w lazurowym piasku i prawie opadły przed bramą z zielonej miedzi, na której wisiała tablica z białego marmuru z temi słowami:

Tan Toràn Heraklondon
Aran Fodan to paliondon.

Co w cudnie dźwięcznym hesperydskim języku znaczy:

Wstęp wzbroniony: oczekujemy zbójcy Herkulesa.

2.

Markiza de Champ'darras — inicjatorka całej tej wyprawy była zrozpaczona: ona to prowadziła całą intrygę z Olimpem, a tymczasem wszystko w łeb wzięło.

Markiz Kupidynek był skwaszony do reszty i kiedy całe towarzystwo lojalnie rozłożyło się pod murami z zielonej porcelany, czekając aż niewolnice przyniosą im szербety i wonne przepiórki w prawdziwym śniegu, — odszedł nieco na bok, tworząc ładną plamę liljowym jedwabiem swej sukni, wzorowanej nieco na stroju koronacyjnym Napoleona — tylko o krótkim płaszczu.

Markiza de Chachyphrogne w melodyjnej morelowego koloru krynolinie chciała go pocieszyć i podbiegła do niego, wyciągnawszy ręce, on jednak pociągnął ją za szkarp i ukrywszy się za szkarp złożył na jej ustach namiętny pocałunek.

Wówczas na horyzoncie zjawiły się sylwety czterech czarnych wielbłądów, które zbliżały się szybko, potrącając czerwonymi frendzlami czapraków, a na nich siedziało piętnastu hebrajczyków z pejsami, w długich szatach, z zakręconymi w loki brodami, z lotusami i czarami z manną w ręku.

Na najpierwszym, najczarniejszym i najmądrzejszym wielbłądzie jechał król Salomon w skromnej szarej szacie. A wielbłąd zrównawszy się z Markizem i Markizą ukląkł na przednie nogi, potem na tylne i król lekko się ześlizgnawszy, stanął obok szkarpu, za którym byli ukryci. Woń myrrhy i fiołków napełniła powietrze, a obręcze złote na nogach i rękach króla brzękały z cicha.

— Może przejdziemy się trochę — spytał łagodnie król, głęboko patrząc w oczy markizie.

Natychmiast otwarła się przed nimi spokojna polska droga, jak ta, co z Byszew do Skoszew po-

wadzi, piaszczysta, szara, z kępami drzew z boku — z kolonią niemca, gdzie czerwieniły się drzewa w niesłychanej obfitości wisien, z białodrzewami wiekowymi. Cienie od tych drzew kładły się podłużnie na słoneczną drogę, a oni poszli tak temi smugami, Salomon pośrodku, a markiz i markiza po bokach.

— Nie trzeba nigdy się dziwić — począł mówić Salomon łagodnie, śpiwnie, tonem Oskara Wilde'a. Zdziwienie jest oznaką dusz płytkich. Trzeba być odrazu, od kolebki zdziwionym i w boskiem zdziwieniu wobec życia trwać. Bo dziwnem jest wszystko, cokolwiek spotyka się na drogach życia: czy to tu na tej polskiej, polnej, czyli na szosie Paris-Nice.

Markiz i Markiza nie odpowiedzieli nic i szli tak chwil parę w milczeniu.

— Dziwicie się? — spytał król.

— Nie — odpowiedzieli szeptem.

Uderzyły dzwony w drewnianym kościółku na Aniol Pański — minęli plac tenisowy, gdzie grała młodzież w białych strojach i jedna panna z kruczemi włosami z purpurową różą nad skronią.

— Wielka jest siła milczenia — powiedział znowu król — albowiem tylko w milczeniu jest prawda, każde słowo jest kłamstwem, każde wejście jest kłamstwem, a wzrok zapuszczony w krynicę duszy nie wyłowi nic nad to, co wyłowić chce.

Słuchali milcząc.

— Kryształ duszy drzemie na dnie przepaści, drzemiąc świeci, ale ciemności go ogartują, a brzęk kropli perłowych daje mu muzykę sfer w milczeniu. Promieniem wystrzeli, makiem wiosennym w tę godzinę, której już nie będzie.

Słuchali milcząc.

— Albowiem większą jest tajemnica miłości, niżli tajemnica śmierci.

— To już Salome Wilde'a mówiła.

— Nie tylko Salome, ale i Salomon. A nie ma nic ładniejszego nad pozę tego frazesu wobec świata. Bo ładne są tylko słowa, a słowa są kłamstwem, a kłamstwo jest pięknem. A w tym zamknięto najwięcej z tego i najwięcej dobrego, co można w ośmiu słowach zmieścić: możemy tą tarczą bronić się i przeciw śmierci — bo ani miłość, ani śmierć nie istnieją, a są tylko słowa, z których buduje się życie nasze.

Znowu nie śmieli mu przerwać. I szli. Skrzyplą piasek pod ich stopami. Za drzewami polyskiwał staw. Nagietki i nasturcje żółciały, płonęły przed białą kapliczką, na której usiadł kościotrup z kosą.

— Dobrze czynicie, bracia moi — mówił dalej król Salomon, że słuchacie słów moich w skupieniu.

A teraz pomilczmy trochę, aby przemówiła do nas prawda wiecznego życia, bo czyż nie wiecie, że idziemy do Emmaus?

Tu obłok srebrny nadpłynął i zakrył im z przed oczu króla Salomona, a oni przyklekli nieco.

A gdy już nie było nikogo — zawrócili w bok i znowu, przeszedłszy gaik Böcklina, byli na sienie Saharze obok ogrodu Hesperyd.

3.

Tymczasem horyzont nakrył się ciemnopurpurowymi chmurami, ciężkimi i przewalającymi swe cielska tuczone, a groźne. Wiatr gwizdał przewiewając srebrzyste wiry po pustyni, a orły nad murami twierdzy hesperydzkiej ponuro zaczęły krakać.

Markiza de Champd'arras w przerażeniu poczęła zbierać rozrzucone serwisy z sewrskiej porcelany, a krynolina jej igrała z wiatrem w festony. Inne panie również wirowały niespokojnie i zbite w grupę tuliły się za zielony skarp, przytrzymując szale, które wiatr jak żagle wydymał. Pierwsze poświsty wiatru cięły im twarz igłami szronu, a wkrótce purpurowe gwiazdki lodowej śnieżycy poczęły przepływać zielony mur i lazurowy piasek Sahary.

Ponure ciemno-fioletowe chmurzyska rozwarły się nagle i rzygnęły całą zalewą czerwonego śniegu, aż zakotłowało, zawirowało wszystko w krwawym tumanie i nakryło płaszczem wszelaki widok.

Markiz du Bâti przeciął jednakże korale zawieruchy głosem jak iskrą, wołając: proszę za mną, proszę za mną. Nad morzem jest szaleć, kędy można przecześć tę krwawicę.

Z zamkniętymi oczami, z rękami wyciągniętymi w czerwone mroki smug śniegowych, w lodowe wichry i zwały, rzucili się wszyscy za markizem trzymając się jedni za drugimi — i szli brnąć w piachu i śniegu, potykając się i rozwiewając jedwab i gazę szat i rubronów, powiewając wstęgami uwiązaniem do wysokich trzcinowych lasek.

Markiza de Chachyphrogne szła na końcu, trzymając się kurczowo sobolowej peleryny markiza Kupidyna, oczy miała całkiem skleione i obolałe, czuła jak chłód zawiewał wzdłuż upończoszonych na morelowo tydek i przejmował całe ciało oślizgłem objęciem.

W pewnej chwili za purpurowym tumanem śnieżycy poza sobą usłyszała pisk i przeciągłe wycie. Serce jej ścisnęło się z bólu — to Chinchinetta! ukończony, ciuppy jej piesek domagał się prawa do życia.

Wysiłnęła się jej z ręki mantyla markiza i nie namyślając się dłużej zwróciła w kierunku głosu.

Brnąc po kostki w lodowatym piasku, poczęła wołać: „Chinchinetta, Chinchinetta!”

I wyobraziwszy sobie jej drogie aksamitne, mahoniowego koloru futerko zasypane śniegiem, a małe ciało umarłe i nieruchome, — do śniegu i piasku, sklejającego jej oczy, domieścić zaczęła łyzy brylantowe. Wyciągając wciąż ręce przed siebie i imię piasa powtarzając, nawoływała — ale głos piskliwy pisklęcia psiego odsuwał się od niej coraz dalej w niejasnym kierunku i tonął pośród ciemnych smug, nakrywających oczy markizy niesłychanym płaszczem.

Przemarżała do kości i przestała się orientować. Poczuła trwogę — i nie myśląc już o Chinchinecie — poczęła nawoływać swoich spółtowarzyszy, ale tylko poświst wiatru odpowiedział jej, podnosząc jej łoki i wstęgi na głowie do australijskiego tańca.

Zrobiwszy parę kroków w ciemności, upadła i dłonie zaczęła o jakiś krzak, który ostrzem gałęzi rozdrapał jej rękę od góry do dołu nowym bólem. Podźwignęła się i uczyniwszy nowych parę kroków, uczuła pod stopą twardy kamień, wznoszący się ku górze. Poczęła więc iść tą drogą, ciągle wsłuchując się w muzykę wichru i zamieci, która jej akompanjowała omnitonalnym hymnem. Po paru chwilach znowu usłyszała wycie sobaczki, już nieco bliżej od siebie. Poczęła znowu wołać: „Chinchinetta!” i jeszcze po kilku krokach na twardej opoce, uczuła uderzenie aksamitnych łapek w kolana i radosny pisk psiska, które tarzało się przed nią w ekstazie.

Pochyliła się. Uczuła się zmarzniętą twarz ciepło swojej oddechu i języka, rękami objęła aksamit małego ciała i uklękawszy, przytuliła sobie do obnażonej szyi, powtarzając ciągle: Chinchinetta, Chinchinetta!

Poczem usunęła się w tył: poczuła, że twarda ściana opoki podpira jej całe ciało, plecy i głowę, więc przymknęła duchowe powieki nad wszelką myślą i zrobiło jej się błogo, spokojnie i śmiertelnie sennie.

4.

Gdy otworzyła oczy, ujrzała przed sobą w słońcu leżącą przestrzeń bladoseledynowego, miejscami szarego morza. Leżała wsparta o skałę asfaltowego koloru, która się wznosiła niebotycznie wysoko, tworząc tum gotycki, którego wierzchołka zająć nawet nie było można, ponad wąską wstęgą drogi, przytuloną do czarno-granatowej skały i znikającą gdzieś w górze, za występem opoki.

Białe mowy z krzykiem krążyły ponad cieniem urwiska, które ginęło w opalowych, nieuchwytnych mrokach obłoków.

Chinchinetta spała, wyciągnąwszy się na jej kolanach.

Nagle usłyszała dźwięk, jakby dwa srebrne talerze zawirowały trąc o siebie dźwięczącymi brzegami: dźwięk ten, podobny do jęku, rozbrzmiewał żałośnie jakby odzew mewom, a potem jak echo powtórzył się raz, drugi i trzeci.

A morze jakby w odpowiedzi na to — rytmicznie, trzy razy z wielkimi pauzami klasnęło falą potężną o brzeg u stóp markizy.



Drzewo w orygl. — Małgorzata Kubicka.

Zza wylomu skały, idąc czarnosną drogą, ukazała się postać niewiasty w czarne greckie odziana szaty, przez które cudne ciało przeświecało; dwa pasma czarnych jak noc włosów miała spuszczone po ramionach na piersi, a oczy wielkie, jak oczy Wysokiej, wpatrywały się w jakąś dal nieziemską. Ręce miała wzniesione do góry ruchem przedziwnie harmonijnej piękności.

Nieco za nią dalej, szły cztery niewiasty w rząd, trzymając nad głową po dwa srebrne kręgi, i pocierając niemi po każdej strofie, wydawały ów dźwięk przeciągły, a jęklivy i bolesny, gromko zawodzący nad płaszczyzną bladzielonego morza.

A niewiasta owa, schodząc miarowo w dół, wołała:

— Koré, Koré...

Córo najmiłsza, słońce oczu moich, gdzieże cię odnajdę? Ty, która maki płonące, a sen dające w warkoczach wplatasz gorejące.

Ty, która przez trzy miesiące dawałaś matce ust gorące pocałunki. Gdzieże cię odnajdę? —

Tu owe niewiasty zadzwoniły ze zgrzytem, potrójnie okręcając srebrne książki, a morze w odpowiedzi znowu trzy razy rytmicznie klasnęło o brzeg.

— Koré... Koré... — wołała dalej niewiasta.

— Córo moja, Persefona, dźwiękliwa, a radosna, kiedyż znowu wyrosną białe anemony, kędy ty łakę przejdziesz, wiosną; zawodzeniem głośno zawołamy ku bogom i ludziom, maków wołając dla ciebie krasną jasną daninę, szczęścia dla ciebie szukając, ty córo ukochana, a obca, nieznaną; dla chłopca przeznaczona ziemskiego, a bogowi ciemności oddana, Persefona. Gdzieże cię odnajdę? —

Tu owe niewiasty zadzwoniły ze zgrzytem, potrójnie okręcając srebrne krążki, a morze w odpowiedzi klasnęło trzy razy rytmicznie, a groźnie o czarne stopy skał.

„O Koré, Koré...”

„Córo moja dla Adonisa przeznaczona, dla Jachosa, dla Dyonizosa, o córo święta, męczeństwem średniowiecznym uświęcona, spowita w lilje i maki mistyczne, wieczna, a nieuchwytna, co się od oczu moich zakrywasz; pojmana, związana, w więzieniu czarownicy trzymana, żono pana swego, na kolana upadła, zbłagana o radość jasności, miłości i kwiecistości wiosennej. O! lzy, na obliczu mej córki, są jak konchy, co w zawarcu swem perły rodzą; uśmiechy jej są płatki ust, które nie całowały nigdy nieśmiertelnego i w śmierci były umoczone dla żywota wiecznego. Gdzie ciebie odnajdę?...”

Tu niewiasty owe, potrójnie srebrne krążki okręciwszy, dźwięk jęklivy wydały, a morze groźnie

trzy razy o stopy skał trzasnęło, jakby za boginką czarną powtarzało:

„O Koré, Koré, Koré...”

Tu pani owa, czarno odziana i niewiasty markizę minęły i szły dalej ścieżką, brzegiem morza, między skałami się płacząc, a lekki zefir donosił jeszcze długo do markizy echo zawodzeń owej niewiasty i żałosliwy podłużny brzęk srebrnych talerzy i groźny pokłask morza.

Markiza śledziła je wzrokiem, a kiedy straciwszy czarną postać z oczu odwróciła głowę, spostrzegła, że ktoś stanął za wysokim odłamem skały i oparłszy brodę na ręce patrzył wielkimi, przenikliwymi, bacznie smutnymi, czarnymi oczami w oczy markizy z pod wielkiego kapelusza.

Markiza długo patrzyła z zaufaniem i z wiarą w te dobre wielkie oczy i poznała je, jak się poznał kwiat, widziany w dzieciństwie.

I spytała cicho:

— Bracie Juljuszu, kto to był?

A on:

— To była Demeter, co szuka córy Persefony.

5.

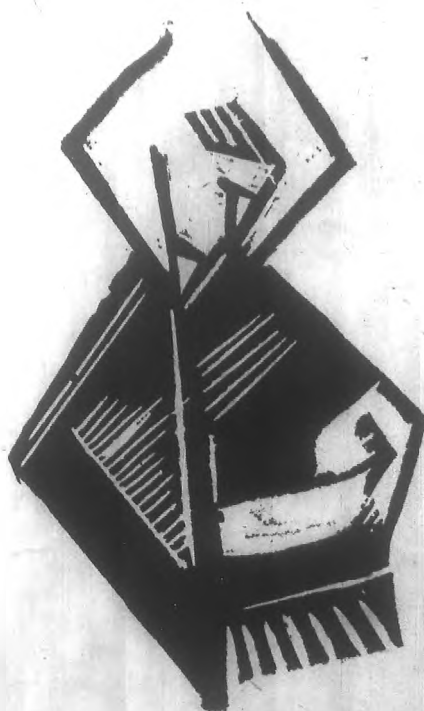
Tu się zmieniło tło ich rozmowy. Byli na jakimś szczyście alpejskim. Juljusz stał na tle obłoku, który wydęty biało-porcelanowy, sennie się powiększał, ogartując całe niebo widzialne dla markizy. Kaskada ze szmerem muzycznym spadała od stóp wieszca, a nad nim i nad szczytem, na białym obłoku stanął łuk tęczy radosnej — szarotki kwitły na bokach, wiśniowiec anemony i asfodele.

— Czego ona szuka? — spytała znowu markiza, głaszcząc machinalnie jedwab Chinchiny.

— Każdy z nas szuka, rzekł Juljusz; szukacie wszyscy, wy tam, ziemscy. Jenó ja mam posmak dojrzałego życia na wargach i świadomość wszystkiego, która lekką goryczą przepaja uśmiech moich ust. Łabędzie lecą nademną w krainę wspomnień, a ja wiem już dokąd one lecą. Już wiem. Nie masz pojęcia, markizo, jaka radość jest w goryczy poznania, goryczy zrozumienia ziemskości waszej i cielesności wszystkich bogów. Patrzysz oto na mnie zdziwieniem dziecinnych oczu, — słowa moje są dzisiaj dla ciebie bez znaczenia: ale kiedy przyjdzie biała śnieżycą i przysypie ci włosy nie pudrem już, a siwizną, wówczas nachylna nad kwiatem subtelnej, różowej fioletki na tle zakrętu jakiegoś strumyka, pojmisz łagodną muzykę mojego głosu i usta twoje ułożą się w ten sam uśmiech, który oglądasz na mych suchych wargach.

„Lecz powiedz, mistrzu-bracie, skąd owe szukanie cór i synów, braci i sióstr odwieczne? Po co ono jest i kto go stworzył...”

— Za wiele żądasz. I za wiele odpowiedzi musiałbym ci powiedzieć: wierz we mnie, jako ja w ciebie wierzę. Jestem tu na lodowym szczycie, posąg świadomości życia, stoję tu swym ciałem suchym i wiotkiem, którego nikt nigdy w życiu nie kochał, którego nikt nigdy nie dotknął miłością. Czy pojmujesz to ty? Córo miłości, kochanko markiza Kupidynka, cielesnie rozpustna, a duchowo czysta, markizo Chachyphrogne? Czy zrozumiesz gorycz mego ciała i słodycz mej duszy, która czasami ocierała się o drugą, jak jedna libellula w przelocie ociera się o drugą: a miłość moja muskała ciało moje, jak wierzba nadbrzeżna muska srebro fal, gdy ją wiatr pokłoni; i nigdy nie objęła mnie upalnie i nie ucałowała w usta cielesne, patrząc nie w me oczy, głębie przepaścistej Psyche, a w wargi moje, które były jak kwiaty, a potem wyschły i stały się zwiedle i gorzkie i zapiekły się w suchym uśmiechu świadomości. Albowiem gorzko jest wiedzieć wszystko,



Drzeworyt oryg. — St. Kubicki.

Wówczas na brzegu przeciwnym alpejskiej przepaści znowu ujrzała Demeter idącą, żałośnie strojną, z orszakiem dziew ze srebrnymi księżycami w dłoniach. Szła zwolna i rytmicznie okalając przepaść, ale była jeszcze daleka i nie słychać było jej pieśni.

— Mistrzu-bracie, rzekła markiza spokojnie, czegoś wyglądasz tak, siedząc na szczycie ludowca?

— Czekam, aż ujrzę go tak znowu, jakem go widział raz ostatni na jakimś brzegu fantastycznej mojej podróży, kiedy na czele koni, na białym arabskim rumaku powionął ku mnie frygijską czapkę czerwoną. Czekam, aż przyjdzie wraz z Persefoną, srojną w maki i frygijskie czapki, aż wejdzie do przybytku mojego, aby położyć pieczęć palców swych białych na rubinie rozkrzyżowanych moich ust. Słuchaj, markizo, bowiem zbliża się czas i nastaje godzina, kiedy stopione lodowce spłyną z wierzchołków Alp, i przyjdzie w słońcu ów, któremu oddany jest Anelli.

Wówczas markiza ujrzała, jak się Demeter uchyliła nad przepaścią, w której mroku wielki szlifowany kryształ świecił jak księżyc, a dwa promienie czarnych jej kos zwisały w głąb przepaści, czarne jak ona.

Spojrzała jeszcze w oczy Juljusza i ujrzała w nich płomień boskiej miłości, amor divina. A z kry-

ształu, jak z lodowego kubka, wykwitła wielka biała lilia i wzniosła się aż ku czarnej Demeter, znacząc ją krzyżem białych kwiatów.

6.

Tu znowuż zmieniło się tło bytowania. Znowu błękitniała lazurem Saharska pustynia, zieleńiły się porcelanowe mury ogrodu Hesperyd i przez rozwarne miedziane jego wrota widać było drzewo ze złotymi jabłkami, pod którym zasnęło całe towarzystwo markizy, jak na jakiej fête galante u Watteau. Demeter stała w słońcu na brzegu przepaści i w ekstazie łączyła końce palców z końcami palców, usta z ustami jakiejś niebiańskiej istoty, haftowanej w czerwone maki i zwiędłe asfodele. A Juljusz ze świadomością w zawartej linji ust, patrzył prosto na wschodzące słońce, które się wznosiło zwolna jak wielka Thermopylska tarcza nad ziemskim bolesnym padołem. Markiz Kupidynek biegł z radością do markizy, a z piasku Sahary poczęły się wysuwać żdźbła trawy i kwiaty, a na horyzontach rozkwitły wonne puszyste migdały, tylko nie różowe, a koloru bławatków i układały się symetrycznie w śliczne trójkąty.

Ale markiza już tego nie widziała. Przypadła do ziemi, tworząc melodyjną plamę swoją morelową suknią, i ciekawym palcem rozklejała białe promienie stokrotek, aby ujrzeć złote oko, czyniące je podobnymi do słońca.



Deszawory oryg. — Maltowska Kubicki.

OBYWATELE

ODA

Swińskich, cielęcych, szkopich błon napychacz;
gęsich, indycznych, kurzych wątrób znawca;
wołowych rzezak cielsk;
wypruwacz jelit;
złupionych zwierząt kupiec i oprawca...
Frachtów właściciel, pan, kundman, nadawca
poczt, puszek, puzder, pudeł, paczek, pak —
wszak
tyle samo właśnie wart,
co złotowłósy czart,
Szejtan ognistopióry,
w niebios lazury
prężący swe pazury —
Poezji zbawca!

Sukien, płócien, pół-płócien, szmat,
drelichów, web, perkalów
konfeksjonista —
wełny, bawełny, pełny
człek
to samo rzekł,
ile iskrzysta
Baśń księżycowej kawalkady,
na marmur blady
wiodąca bogów plejady...
Lada nieuka
wiodąca w turkusowy wir,
przez złotogłów, purpurę i kir — :
— Sztuka!

Drących, trących, kujących, pracujących
karuzele —
ciżby handlujących, giełdujących,
wedle prawa żyjących, żrących — (i mrących) —
znaczą wiele;
więcej, pono, niżli krystaliczne kapele,
wszech łądów — i wszech czasów — minestrele.
Ci są, którzy pijani orką twardą
na wszech-śpiewaków lud patrzą z pogardą.
Ci właśnie społem zowią się: O-by-wa-te-le.

Obywatelom Rzesz, Królestw, Kompleksów,
twórcom taryf, paragrafów, kodeksów,
radcom, rajcom magistratów,
członkom komisij, trybunałów,
sędziom, sekretarzom, adjunktom,
prezesom, burmistrzom, dyrektorom,
targowych hal matadorom —
rozścielcie szlak szkarłatów!
Z Lipsków, z Niżnich - Nowogrodów,
od Elby aż do Uralów,
od Alp aż do Nepalów,
dla merkantylnych narodów,
dla handlujących wassalów —
otwórzcie wjazd: — ! — ! — :

Amsterdamscy szlifierze gwiazd,
lipscy oprawcy sobolów,
więcej fałszerze piór,
berlińscy zgonnicy —
wezmą swej szarży znak
w O b y w a t e l s k i e j świątnicy,
zwałą Pegazów na wznak!

W stadzie, pośrodku karmników,
lwicom, splotnionym od byków,
zarzućcie żer.....
Obywatelom przyprowadźcie Legiendę
nagą...
niech z piersi jej tryska sok —
i zaczarowane mleko...
Niebieskie góry daleko...
Daleko piany mórz cieką.
kołysząc okrętu drzazgą...
Walą się cielska tyranów!

Obywatele — !!
Wyście są, którzy zabili swych panów!!!
Pijecie złoto z cudzych roztruhanów!!!
Przyjdzie godzina, jak noc!!!!
Runie dom!!!!!!
— Piorun was zetrze na miazgę!!!!!!

ZDZISŁAW KLESZCZYŃSKI.

CZTERY PRAWDY DOSTOJNE

BHIKKHU ANANDA MAITRIYA.*)

Bracia! Niełatwo odważam się dać wam dzisiaj pogląd na religię buddhystyczną. Powodem tego, to nie tylko nadzwyczajna trudność skreślenia w przeciągu godzinnego odczytu choćby tylko najkonieczniejszych zarysów tej dostojnej, świętej nauki — lecz i to, że wielu z pomiędzy was znacznie więcej odemnie jest powołanych do wykładania istoty buddyzmu i bardziej na podstawie studjów całego życia i długoletniej swej działalności ku temu uprawnionych.

I nic też nowego Wam nie powiem, niczego, czegobyście już nie byli słyszeli — jeżeli więc ja, jako obcy, co posiadam niktę tylko wiadomości o tem wielkiem prawie miłości i sprawiedliwości, odważam się mówić do Was, którzy już przeważnie od dzieciństwa jesteście wyznawcami Buddhy, to dzieje się to dlatego tylko, że zdaje mi się, iż światło z „skarbu wielkiego prawa” promienieje dziś jak i przed dwudziesto czteroma wiekami równie jasne, błyszczące i czyste, że nawet niewiedza moja całkowicie jej zaćmić nie może i wierzę, że prawo to, kiedykolwiek i przez kogobądź, by tylko usposobieniem pełnem miłości tłumaczone lub słuchane, zawsze, choćby w nikłej nawet mierze, zawsze pomocne nam będzie, że nigdy nie zawadzi rzucić promień światła w ciemność ducha i życia naszego.

Dlatego nie oczekujcie w wywodach moich niczego nowego, niczego nadzwyczajnego; wszystko o dostojnym prawie miłości i sprawiedliwości, które nam Mistrz podał, tyle, tyle razy już dawniej tłumaczono — więc ja, najniższy uczeń niezrównanego Mistrza, powtórzyć wam tylko mogę w nowych słowach to, co on nauczał kiedyś, w minionych dawno dniach.

Wiele, mniej ważnych rzeczy z konieczności pominać muszę, a gdybym tu i owdzie błdził w zapamiętaniach moich o istotnym i prawdziwym buddyzmie, miejcie wzgląd i wyrozumienie. Stare już bardzo są święte pisma, zawierające naukę Mistrza naszego i wiele uczeni nawet, których nadzwyczajnej pilności i pracy zawdzięczamy zwrócenie umysłów

świata zachodniego ku prawdziwej nauce buddyzmu, przyznają trudność w oddaniu w językach zachodu tych wyrażen, które tak mało mają wspólnego z pojęciami systemów filozoficznych Zachodu.

Zastanawiając się w jaki najlepiej uchwycić sposób w godzinnym odczycie zasadnicze nauki Pana naszego, z obawą spoglądałem na niesłychanie bogatą literaturę kanoniczną „Tipitaka”, nie mówiąc już wcale o ogromnej ilości ważnych i uznanych komentarzy — i zadanie zdawało mi się być beznadziejnem. Myślałem o Abhidhammie, które źle rozumiane łatwo na błędne ścieżki sprowadzić może, o niezliczonych regułach i przyklądach w Vinaya, o tylu, tylu pięknych przypowieściach, przemówieniach i pieśniach z Sutta-Pitaka — i nie wiedziałem, od czegoby rozpocząć. Wtem jednak przyszło mi na myśl, jako mówił Mistrz o tem, iż prawo jego tak jest proste i jasne, że dziecko małe istotę jego pojąć jest w możności i jako on sam przy końcu długiej swej chwalebnej wędrówki całą swą naukę w ramach zamknął jednego jedynie zdania.

Pozwólcie, że przywiodę wam na pamięć oną scenę. W pobliżu miasta Kusināra, w rozległym lasku, pomiędzy drzewami sala przygotowana łoża dla umierającego Mistrza. Zapowiedział on, iż przy zmianie ostatniej dziś straży nocnej duch jego opuści ciało — to ciało, które przez tak długi czas dlatego tylko utrzymywało się przy życiu, aby mózg światu wskazać drogę ku wielkiemu spokojowi.

Dzieło jego — najpotężniejsze dzieło, jakie kiedykolwiek na ziemi śmiertelna istota stworzyła — dokonało się, i dla wszystkich stu uczni jego, którzy do ostatka go nie opuścili, niema już nierozwiązanych trudności, ni żadnych zwątpień. Ananda, uczeń umiłowany, pełen troskliwości, uchronić chce Mistrza przed natręctwem wędrownego ascety, Subhaddę. Buddha słyszy szepty i rozmowy, woła Subhaddę do siebie i naucza go prawd swych. Subhadda jest ostatnim przez Mistrza osobiście przyjętym uczniem. I wtedy zaległo wielkie milczenie w tłumie zebranych Bhikkhu i Arahās — stali i czekali wszyscy, aby pochwycić ostatnie słowa, które popłyną z ust najmądrszego i najmiłosierniejszego z ludzi. I doczekali słów jego. Mistrz rozpoczął: „Bracia! Ponieważ nie rozumiemy i nie pojmujemy czterech prawd wielkich musieliśmy kroczyć i wy i ja, tak długo przez śmierć i życie. A jakież to są te cztery prawdy? Cierpienie, źródło cierpienia, przezwycię-

*) Allan Bennett Mac Gregor, rodem z zachodniej Anglii, mając lat 18, pojechał na Ceylon dla poratowania zdrowia. Tam poznał z bliska naukę Doskonałego, której zawsze był zwolennikiem, i po odpowiednim przygotowaniu został przyjęty w roku 1902 do sangha. Wtedy to też zmienił dotychczasowe swe nazwisko na Ananda Maitriya, wrócił do Anglii i stał się założycielem sangha na Zachodzie. Niniejsza rozprawa to wykład, który miał Ananda Maitriya w r. 1901 w Palambo na Ceylonie.

ienie cierpienia i dostojna, ośmioraka ścieżka, prowadząca do zwalczania cierpienia. Gdy kto cztery te prawdy pojmie i uzna, wykorzeni w sobie żądzę życia, zniszczy to, co go do nowej pcha egzystencji, a wtedy niema już dla niego nowych narodzin."

Tak więc w czterech tych prawdach zawarty jest cały buddyzm. Cztery to prawdy tego rodzaju, że dziecko słuszność im przyzna, że dziecko małe pojąć je i zrozumieć może. Jeżeli zdołam wytłumaczyć wam istotę ich tak jasno, jako je pisma święte tłumaczą — okażę wam wszystko to, co istota religii naszej zawiera. Subtelność praktycznego zastosowywania w Abhidhammie, reguły Vinayi, poezja i głębokie nauki w Suttach, to wszystko tylko praktyczne objaśnienia i ilustracje, to komentarz tylko dla dostojnych czterech prawd. A ponieważ tak one są łatwe i tak życiu naszemu bliskie — gdyż dwie z nich stałe są z nami, dwóch innych zaś ustawicznie poszukujemy — dlatego mówimy, że dziecko małe religję naszą pojmie.

Zrozumcie jednak: Choć cały buddyzm polega i zbudowany jest na prawdzie i szczerem poszanowaniu czterech tych zdań — dalecy jesteśmy od tego, aby w nie w zwykłym tego słowa znaczeniu „wierzyć“. Byłoby to bowiem zupełnie przeciwne duchowi nauki naszej. Ostrzega nas się nawet, aby niczego, choćby to i wyraźne słowa samego Buddhy były, niczego nie uznać, o prawdzie czegobyśmy się wprzódy w duchu, po starannem rozpatrzeniu nie przekonali. I ztąd cztery te prawdy nie są dla nas bynajmniej jeno artykułami wiary, w które „wierzymy“ dla autorytetu Mistrza naszego, tylko twierdzeniami, przewodnikami, któreśmy wszystkie sumiennie rozważyli, przemyśleli i z doświadczeniem naszym porównali, i to mianowicie tak, że dwie pierwsze potwierdzają się przez doświadczenie nasze, dwie zaś inne wskutek wnioskowań sami uznamy jako prawdziwe. Przez uznanie i przyjęcie prawd tych, stają się wszelkie inne nauki buddyzmu łatwo zrozumiałe i to przeważna ich część wywodzi się z potwierdzenia pierwszego zdania, prawdy o cierpieniu.

I tutaj główny jest powód odrazy i zgorznienia, zwłaszcza dla ludów zachodu. Czujemy się tak pełni życia, tak żądni czynu, tak silni w nowo zdobytej wolności, że podobni zuchwałemu chłopcu, który co dopiero szkołę opuścił, zbyt pochopni jesteśmy, uważać jako najjaśniejszy pesymizm, lub może nawet jako największą niedorzeczność, filozofję, która rozpoczyna się twierdzeniem, że wszelkie pomyślane życie cierpieniem jest. Tak silnie w siebie wierzymy, tak ważną wydaje nam się być wiedza nasza, tak piękne mamy plany na teraźniejszość, — że zapomi-

namy o przeszłości i przyszłości, że nie myślimy o tylu niezliczonych cywilizacjach, które powstawały, kwitły i zniknęły, pozostawiając po sobieli tylko ruiny; pamiętajmy, że i nasza cywilizacja minąć musi i że Europę w przyszłości znów barbarzyńcy zamieszkać będą.

Dlatego to tak jesteśmy skłonni, z góry odsuwać od siebie podszepty, że wszelkie życie w najgłębszej swej istocie jest złem i najlepszym co uczynić możemy, to żyć tak, abyśmy wiecznie zmiennemu biegowi cierpień zdołali umknąć. A jednak, przyrzecie się wielkim religiom światowym, oprócz Islamu, wszystkie są zbudowane na podstawie tej samej nauki o cierpieniu i o znikomości wszelkiego istnienia ziemskiego. „Świat jest padołem zła; gardźmy jego pokusami i żyjmy tak, abyśmy — gdziekolwiek bądź — lepsze osiągnęli życie“.

Czy to nie fundament wszystkich religii, a nawet, czy to wogóle nie podstawa, której religje zawdzięczają istnienie?

Czy prawda ta, pierwsza prawda buddhystycznej naszej religii tak jest niejasną, tak trudną do zrozumienia, że musimy w nią „wierzyć“, jako w nieudowodniony i niedający się udowodnić dogmat? Z pewnością nie; któż bowiem z was nie jest poddany i w tej chwili potędze cierpienia? Po długim utrapieniu zdobyłeś sobie upragniony przedmiot, przyjmujesz go z całą miłością — szczęśliw jesteś z jego posiadania, czy nagle stałeś się szczęśliwym na całe życie? Powiedz, przyjacielu, czy ustało prawo, które tobą kieruje, że mógłbyś rzec: „To co ukochałem i jutro jeszcze mojem będzie?“ Czy największy ból na ziemi, nagle odejście tych, tak tkliwie kochanych, nagle ich ustąpienie z areny życia i wejście ich w niedostępną nam krainę śmierci — czyż nigdy najgłębszy ten ból nie rzucił ponurego cienia na twoje życie — a jeśli nie, czy odważyłbyś się rzec, że i jutro to się nie stanie? Gdy kochasz, — a miłość nie jestże najwyższą z wszystkich radości ziemskich — gdy kochasz, musisz trwożyć się, tak, trwożyć, jeśli istotę życia poznał i rozumiał, a trwoga jest — cierpieniem.

Gdy dążysz do szczytnego ideału i zdaje ci się żeś już bliski celu, któremu tyle poświęciłeś sił — spiesz się bracie, spiesz, aby ci przedmiot największych wysiłków twych nie rozpadł się w pył! Goniący za ideałami, czyż jeszcze nie nauczył się tego: póki ideału nie osiągniemy, nie szczędźmy żadnych ofiar by dojść do niego, a gdy bożka swego wreszcie znajdziemy — nie stoż on zawsze na glinianych nogach? I to jest — cierpieniem.

Czy byłby kto w stanie z pośród was, skłębic sobie ziemską jaką nadzieję, lub zbudować sobie choćby i najdoskonalszy ideał, któryby sam z siebie

nie rozplynął się w nicości, zanim się go osiągnie? Mówisz, że milujesz ubogich i cierpiących, że kochasz wszystkich ziemskich braci, co słabsi i mniej niż ty szczęśliwi; kochasz i chciałbyś być im pomocnym w ich nędzy życiowej. Nie wiesz-że, że zanim osiągnięty będzie szczytny ideał zbratania, zanim wszyscy ludzie rzeczywiście kochać się wzajem i pomagać sobie będą, że dawno, dawno przedtem, tenże przedmiot twego współczucia i sympatii zniknie na zawsze? I dalej nawet wnioskuję. Może żywisz miłość wielką ku twojej religii, tej czy tamtej i zdaje ci się, że ludzie w tem lub innym życiu byłiby lepszymi i miłsierniejszymi, gdyby wierzyli tak, jak ty. I cel swego życia upatrujesz w tem, aby wielką religję, która tobie byt i istnienie ułatwia, przyswoić tym, co żyją w ciemnościach. Wiedz, przyjacielu, że i tutaj panuje niezmiennie prawo znikomości! W tak krótkim przeciągu czasu jaki znamy, w tych kilku tysiącach lat ludzkiego życia, o których księgi historyczne wspominają — ileż to religii powstawało, żyły swój czas i obumierały, pozostawiając tylko po sobie wspomnienie zwiędłych nadziei?! O, wiem, że każdy z was na to powie: „Ach, tak się działo z wszelkimi innymi religiami, ponieważ mało lub wcale nie zawierały prawdziwego światła, moja wszakże wielka religja, to co innego, i ona z pewnością wiecznie trwać będzie, z pewnością wszystkie narody pod jej przejdą panowanie, gdyż ona w sobie ma to poznanie wieczne i światło, które nigdy się nie zaćmi ani zgaśnie.“ Tak marzyli także nieliczni wielbicieli Izzydy, świętej matki, przed wielu, wielu wiekami nad brzegami Nilu — a dzisiaj, ile składa się kwiatów u jej stóp? Tak samo myśleli wyznawcy wielkiej, starej religii parsów, religii, którą uwielbiali jako źródło wszelgo dobra, gdy się zwracali ku światłu jako najodpowiedniejszemu symbolowi — a dzisiaj, iluż ich pozostało z tych milionów? Tak zawsze myśli zapatrzony czciciel, wszystko jedno, czy to chodzi o sprawy ludzkie czy boskie: To przemennie ukochane, lepsze jest niż wszystko inne, jakżeby więc kiedykolwiek minąć lub umrzeć mogło? Raczej: Jakżeby minąć nie mogło? Czyż to możliwe, aby części złożone z naszych myśli, uczuć i mowy nie minęły — choć najwyższe i najświętsze?! I to jest — cierpieniem.

Jeżeli powiesz: „Prawda, wszystko minąć musi, wszystkie ziemskie nadzieje muszą zblednąć, jeśli nie dziś, to może już jutro; lecz — dajcie mi dziś być szczęśliwym, tak pragnę tego, ten tylko dzień; dzisiaj wszystko po mojej składa się myśli i ci, których kocham, są przy mnie;“ — jeżeli mi powiesz: „Prawda, że cierpienie istnieje, lecz jest też i szczęście, dajcie mi dziś być szczęśliwym, a choć jutro już cierpienie na mnie spadnie, nie zmieniaj tego, pozwólcie mi te-

raz być szczęśliwym, dajcie mi użyć świata, choć tego tylko dnia“ — wtedy ci powiem, że nie namyśliłeś się, że nie pojęłeś. Nie rozumiałeś-że jeszcze pierwszej wielkiej nauki (lekcji) istnienia, że nie jesteś odosobnionem stworzeniem, lecz istotną częstką życia, tego tchnienia życia, które we wszystkim pulsuje i oddycha? A jeśliś pojął wielką tę prawdę o jedności, nie tylko ludzi, lecz i najwyższych i najniższych istot, jeśliś ją rozumiał, możesz-że powiedzieć: dzisiaj nie cierpię? Nie cierpisz, choć oczy twych braci łzami napelnione? Gdy całe oblicze uśmiechnięte, wesołej przyrody maską tylko jest nieznosnego, nieprzerwanego okrucieństwa, gdy powietrze rozdziera krzyk bezbronnych, w męce wijących się stworzeń? A ty dnia tego nie masz smutku?! Toś bracie, nie rozumiał dnia tego, nie pojęłeś, że nazwaną ciębie cierpiące życie, jedno jest z życiem, które w tobie drga. Mur wznosisz, oddzielający ciebie od innych stworzeń — i wskutek takiego właśnie złudzenia o odosobnieniu istnieje cierpienie wogóle! Cierpimy dzisiaj, bośmy niewiedzący, przebiec musieliśmy tyle żywotów pełnych cierpień, gdyż złuda utrzymuje nas w niewiedzy. A nie jest-że ta niewiedza, to straszne źródło cierpień naszych — sama cierpieniem?! Jakież większy ból istnieć może, niż czuć się odłączonym od innych tchnień życia, odczuwać, że jest się odosobnionym, że stoi się samotnie, bez współczucia z słabymi, bez troski o cierpiących? I to jest — cierpieniem i to może największem cierpieniem wogóle. Jutro owoc dojrzeć może, a któż wstrzyma bieg czasu, któż zatrzyma żelazną losu rękę?

Gdy to wszystko przyznamy, pojmiemy pierwszą z dostojnych prawd, że wszelkie życie, wszelkie istnienie bez wyjątku jest cierpieniem, i że niema lasu, ni góry, ni jaskini, i więcej jeszcze, że niema miejsca w najwyższem, najświętszem niebie, gdzieby istota jaka spokojnie rzecz mogła: „Tutaj nie osiągnie mnie cierpienie!“ A gdy poznaliśmy już choroby i cierpienia życia, idźmyż znowu do Mistra naszego izby nas uzdrowił. Uczył on nas, by oczu i ducha naszego tak używać, aby dojść do przekonania, że nie osiągniemy nigdy życia szczęśliwego do jakiego dążymy; zaostriżł wzrok nam, abyśmy poznali wszechcierpienia i wszechbole odczuwających istot. Gdzież jest droga wyprowadzająca nas z morza Samsary i cóż nasamprzód czynić trzeba? Następnym krokiem naprzód, mówi mistrz, jest zrozumienie i uznanie drugiej prawdy dostojnej — o źródle cierpienia.

„Nie z siebie jest cierpienie — cierpienie pochodzi z złej żądz“ mówi poeta „Pochodni Azji“. W ramach kilku tych słów zawarta prawda, która

zwie się cierpienia źródłem. Tęsknimy za bogactwem, gdy go nie osiągniemy — uczuwamy żal, a gdy je posiadamy, obawiamy się je stracić, a tak, i ta tęsknota i obawa są przyczynami cierpienia. Tęsknimy do miłości i szczęścia i do życia samego, do wszystkiego co nas cieszy, uszczęśliwia i upiększa życie — i ta tęsknota jest powodem cierpienia, bo albo nie możemy osiągnąć tego co pragniemy, albo gdy zdobędziemy, wyrwie nam nieubłagana ręka losu przedmiot miłości naszej i powstaje — cierpienie. Podobni jesteśmy rozbitkom morskim, rzucanym tu i tam na niezmierzonym oceanie Samsary i łakniemy i pragniemy choć kropli tylko wody, innej niż ta co nas otacza i co nam się wydaje tak przejrzystą, jasną i obfitą. Długo opieramy się temu, gdyż wszyscy Nauczyciele religii mówili nam o złudzie błyszczących fal; — lecz wreszcie w chwili nieznosnego pragnienia upadamy i pijemy, — a wtedy — jakąż wtedy nadzieję zostaje nam na to życie? Z powodu pragnienia, które wskutek użycia słonej wody stale rośnie, musimy pić coraz to więcej, aż wreszcie cały nam czas na tem uchodzi, że bez przerwy pijemy spragnieni tę wodę namiętności i żądy, iż w końcu czasu nam nie starczy na sterowanie okrętu naszego ku drugiemu brzegowi. A to ostatnie to przecież zadanie nasze, jednakże trudno spełnić je! Nie pożądać! Zaprzestać picia słonej życia wody, jeśli to nam się stało nałogiem i treścią życia! A cóż mówi „wniosłe prawo”? Namiętność mniej jest silną niż miłość dobrego; ten, kto, choć tylko krok za krokiem stara się przewyciężyć w sobie owo fatalne pragnienie, coraz silniejszym będzie w dążeniach swoich; „niechaj nikt lekkim sercem nie mówi o doskonałości: nie dojdę do niej; przecież i przez stopniowe padanie kropel wody napelni się dzban”, kto dzień za dniem do tego dąży, by mieć moc nad pragnieniami swemi, niebawem będzie je umiał opanować i przewyciężyć; a zwycięstwo to odnosi się przez niestrudzone, energiczne wyczerpanie, przez prawe życie. To trzecia prawda dostojna, o usunięciu cierpienia. Czwarta zaś, to droga, dostojna ośmiioraka ścieżka, wiodąca ku wiecznemu spoczynkowi, wyprowadzająca nas z wielkiego morza pożądań i cierpień; to droga, którą nam wskazał Mistrz nasz, aby nas zaprowadzić ku wielkiemu spokojowi; to ostateczny cel naszej wiary buddhystycznej; droga, która otwiera oczy i daje światło i prowadzi do spokoju wewnętrznej istoty, do najwyższego poznania, do Nirwany.

Niełatwo drogą tą kroczyć; nawet mozolnie wstąpić na świętą tę ścieżkę, nad której progiem wypisane słowo: „wyrzeczenie”! I to na najstraszniejsze z wszystkich wyrzeczeń zdobyć się tam trzeba. Bogactwo, żona, dziecko i życie nawet od-

dać drobnostką jest w porównaniu z pierwszym stopniem na drodze Buddy. Nieraz już oddawali ludzie powyższe wartości z tysiąca powodów, — tak z czysto próżnej hysterji, jak i z miłości ku najwyższemu ideałom religijnym, dla wiary w przyszłe życie, tęsknoty za wieczną szczęśliwością, wiary w miłosierną pomoc po śmierci, dla wiary w wielkiego Boga, który modlitwy rozumie, przyjmuje i wysłuchuje. Tutaj jednakże, zanim na ścieżkę tę wstąpisz, musisz zrzec się i stracić te właśnie rzekomo wielkie i wysokie ideały, gdyż kto kroczyć chce na boskiej tej drodze, nie może mieć wstrzymujących go w pochodzie wieżów nadzieji, ufnosci i wiary. Przypatrzyć się: Jakież są nasze najwyższe dążenia, jakaż nasza najsilniejsza tęsknota? Kochamy szczęście, nienawidzimy cierpienia i chcielibyśmy w tym już życiu być zupełnie szczęśliwi. Wyzbądź się takiej tęsknoty, mówi prawo; gdyż wszystko życie jest cierpieniem, a przez ufnosć w rzecz nieosiągalną nigdy nie dojdiesz do pokoju. Kochamy życie, nienawidzimy śmierć, i tak tworzymy w samym sobie ideał, wdziałło, istotę lub „ducha”, urojone „ja”, które w nas żyć ma, i to nawet wiecznie, i wtedy jeszcze, gdy ciało nasze już nie będzie istniało. Ta „wiara” w wieczną istotność duszy, to owoc, który wskutek żądy życia w was dojrzał, mówi prawo. Nie jesteście szczęśliwi, a wszystko, co znacie i kochacie, poddane jest najwyższej mocy znikomości i marności — i ztąd to, z tej dzikiej żądy stwarzacie sobie obraz życia niemającego i wyobrażacie sobie, że wasze urojone „ja” wiecznie trwać będzie. Pozbądź się, mówi „wielkie prawo”, pozbądź się tego głupiego uwidzenia i iluzji ludzkiej, tej „wiary” w wieczną istotność duszy, gdyż wszystko co w kształt przyobleczono bieg czasu rozwiąże i nie jest godne być wiecznem! Pozbądź się tej „wiary”, powstała ona z pożądania; kto nie pożąda, nie ma „wiary”¹⁾ tylko wiedzę. Pozbądź się wiary w swoje „ja”, gdyż dopóki w tobie będzie owa żądza życia, to źródło obłądnego mniemania, dopóty nie postąpiłeś kroku w twej pielgrzymce. Właśnie ta wiara błędna to powód, żeś tyle licznych wcieleń przecierpieć musiał; a jeśliś teraz już przyszedł do przekonania, że wszystko, do czego dążyłeś jest znikome, wyrzec się musisz i tego, co oznacza główne cierpienia źródło.

Ponieważ często słabi bardzo jesteście i brak nam ufnosci, gdy nieunikniony cień cierpienia padnie na drogę życia naszego, tęsknimy, by poznać życie takie, które nie podlega zmianom i pragniemy istnienia, co zmian nie zna. Zaprawdę, jak małe dzieci

¹⁾ Przez „wiarę” rozumiem tutaj, nie prawdziwą (duchową) wiarę, którą osiąga się przez promień poznania, tylko ślepe „wiarę” (uznanie za prawdę) dogmatu.

w chwilach przestrachu, potrzebujemy ojca jakiego duchowego, matki, tęsknimy za czemś, co grzechy nasze na się weźmie, co mogłoby cierpieć za nas i odczuwać z nami troski codzienne, szukamy kogoś, który modlitw naszych słucha i pomaga nam. Ponieważ trudno nam pojąć i zrozumieć cel całej tej potężnej zagadki życiowej, dlategośmy stworzyli sobie te wielkie, święte ideały; ideał w jakimś niebie wielkiego Boga, który nas wszystkich stworzył, co nam pomaga, gdy się do niego modlimy, który nas w wędrówce życiowej prowadzi i da (urojonemu) naszemu „ja“ na wieki mieszkanie w świętem swem niebie. Wyzbądź się takiej „wiary“ mówi „wzniosłe prawo“ gdyż i ona wypływa, choć z wysokości, szlachetnego pożądania z pragnienia nieśmiertelnego życia, z tęsknoty, by stać się godnym świętego obcowania z miłością; to wiara, co wypłynęła z niemocy naszej natury i z uludy, że jakowaś istota zewnątrz nas może nas ratować i zbawić. Wyzbądź się takiej „wiary“; dopóki przy drodze siedzisz bądźziesz i inny prosić o pomoc, nie postąpisz. Ucieknijcie się do prawdy, idźcie do prawdy i do was samych jako do pochodni i przewodnika. Nie szukajcie innej przystani jak prawdę, jak was samych. Nie przez modlitwę i ślepą wiarę dojdiesz do pokoju, li tylko przez to, że nauczysz się pojmować, czem jesteś a czem nie jesteś, że czyny twe w zgodzie będą z prawem miłości i prawdy, wskutek poznania, nie przez „wiarę“, przez prawe, miłości pełne działanie, a nie przez pacierze.

Tutaj narzuca się pytanie: Jeżeli nie wierzymy w żadną potęgę tam w wyżynie, w żadnego Boga, który modlitwy nasze rozumie, jeżeli nie zwracamy się do żadnego świętego w niebie — cóż znaczy wtedy ci liczni kłęczący ludzie w naszych świątyniach, te falujące dymy kadzielne i niezliczone kwiaty, które składamy przed obrazem Mistrza? Nie jest-że to modlitwą? Czyż da się pomyśleć, aby pięć set milionów ludzi bez żadnego powodu cześć swą okazywało, bez powodu ofiarowywało kwiaty i kadzidło? Nie, bracie; to nie bez powodu dzieje się, przeciwnie, jest tu pobudka najwyższa, jaką wogóle znamy. Nie dlatego, że wyprosić chcemy u Najmiłosierniejszego jakowś łaskę, nie dlatego, że ufamy, iż modlitwy nasze słuchających uszu jego dojdą i że będzie On szczęśliwy wskutek okazywanej mu czci. Nie — On, wielki, pełen miłości Nauczyciel wstąpił już do onego spokoju i onej ciszy, gdzie nie dosięga go żaden odgłos trybów koła świata — i nie wyprosić od niego nie możemy, jako i on nie nam dać nie może. A więc, cóż zatem znaczy owo pozorne uwielbienie, owa cześć, cóż kwiaty i ofiary? Powiem wam w kilku słowach: Miłość była pobudką, że człowiek ów —

gdyż człowiekiem był on niegdyś i jak my poszukiwał prawdy — wyrzekł się wszystkiego, aby nam dać światło, aby światu wskazać drogę do pokoju. Dla nas, nietylko dla siebie — i po wielu, gorzkich walkach celu dopiął.

Ponieważ opuścił pałac swój i całą jego świetność, ponieważ oddał się samotności, by szukać prawdy, a b y ś m y drogę znaleźli do pokoju — ponieważ po dojściu do celu tegoż przez czterdzieści i pięć lat niestrudzenie prawdy tej nauczał, aby i inni ścieżką tą dążyli — ponieważ umierając zapewniał, iż nie ukrywał nic z nauki, jako to czynili inni nauczyciele swego czasu ludowi swemu, lecz całą odsłonił ludzkości prawdę, — ponieważ nie wyrzekł nigdy nienawistnego i szorstkiego słowa — ponieważ jest nam niezrównanem uosobieniem najwyższego ideału, urzeczywistnieniem miłości i miłosierdzia — przeto uginamy przed nim kolan w pokorze i ofiarowujemy kwiaty, światła i kadzidło; przeto uważamy go w sercu naszym jako najdosłójniejszy ideał nie znający równego sobie. Cześć nasza ofiarą jest miłości, nie zaś targowiskiem, gdzie wymienia się pacierze i wołania na jakiekolwiek dobrodziejstwa.

Przypatrując się morzu, jako niestrudzone fale poruszają się w słońcu — patrząc na wspaniałą krajobraz lub przyglądając się palmom, które powiewają w wietrze wieczornym — gdy spoglądamy ku nocnemu firmamentowi, ozdobionemu niezliczonymi, błyszczącymi gwiazdami — czyż nie odczuwamy wtedy i w tych czysto ziemskich przedmiotach nawet, w tych obrazach zmysłów naszych, owego nienazwanego drgnienia duszy, co i w skałach, drzewach i gwiazdach odsłania nam rąbek tego dostojństwa, będącego poza naszym życiem? Dlaczego kochamy zieleniące pagórki i milczące tajemnicze gwiazdy? Bo piękne, bo z natury kochamy to, co piękne, szczytne i dostojne i jako wszyscy ludzie chętnie się zatapiają w poruszające ich widoki, z miłości ku zewnętrznej piękności, którą nam przyroda ujawnia — tak my, czciele „wzniosłego prawa“ odczuwamy potrzebę rozmyślenia nad niezrównanem życiem, miłosierdziem i mądrością Mistrza naszego; te sprawy więcej nam powiedzą i w wyższym stopniu bodźcem nam będą ku szlachetnemu działaniu i czystemu życiu niż największa piękność świata zmysłowy. Z miłości i wdzięczności kłękamy przed ołtarzem Pana naszego i święte nam jest drzewo, pod którym mądrość osiągnął: z miłości ku nim, gdyż wspomnienie życia i nauki jego, gdyż rozmyślanie o mądrości i miłosierdziu wewnętrzną istotę naszą napelnia niewypowiedzianem pokojem i bodźcem nam jest najsilniejszym do pokornego naśladowania owego życia, owej miłości i owego miłosierdzia. Mistrz, to najwyższy ideał,

jaki ludzkość wogóle stworzyć jest w stanie i dlatego uważamy za wskazane często rozmyślać o nim i o godnym caci życiu jego. Jesteśmy zdania, że człowiek, który obrał sobie sam Mistrza jako ideał i czuł go słowami: „Chwała ci, o wszechmiłosierny” — że człowiek taki stać się musi litościwszym przez taką cześć; nie wszakże dlatego, iżby mu Buddha łask zato udzielił, lecz dlatego, że i sposób myślenia człowieka i ideał, któremu tenże hołd składa w duchu, sami przez się skutek ten wywołują. A czyż można więcej wymagać, niż żeby religijna cześć, którą człowiek praktykuje, czyniła go lepszym, miłosienniejszym i bliższym ideałowi? To bezsprzecznie słuszniejsze i godniejsze, niż prośby o dary.

Kto mocą czystego poznania dojdzie do urzeczywistnienia czterech prawd dostojnych, kto czynem udowodni poznanie, że wszelkie części składowe każdej istoty podlegają trzem przymiotom: cierpieniu (Dukkha), znikomości (Anicca) i niesamomości (bezistotność, Anattā), ten zwie się Sammāditthi; znaczy to: wyznawca wiary buddhy-

stycznej, który osiągnął prawdę przekonania i prawdziwą świadomość. Nie potrzebujemy jeszcze spełnić innych, wyższych stopni dostojnej, ośmiorakiej ścieżki, tylko w sobie zrealizować cztery prawdy dostojne i owe trzy przymioty z nich wynikające (Dukkha, Anicca, Anattā). Kto stan sammāditthi osiągnął, wstąpił w każdym razie na świętą drogę, i jeśli szczerze siły swe wyteży, zdobędzie moc do pokonania następnych więzów, które kępują go w pochodzie. Przedewszystkiem wszakże wyzbyć się musi wszelkich owych fałszywych nadziei i złudnych wierzeń. Kto to uczyni, stanie się buddhystą, a osiągnięcie owej prawdziwej świadomości (Sammāditthi), to pierwszy krok na dostojnej ośmiorakiej ścieżce.

Drugi stopień to prawe dążenie, Sammāsankapa. Powstaje ono przez ziszczenie w sobie świadomości o cierpieniu (Dukkha), o znikomości (Anicca) i bezistotności (Anattā). Ponieważ wszystkie stworzenia cierpią, nie czynimy ich jarzma jeszcze cięższym; dążmy ku temu, by stać się miłosiernymi i pełnymi miłości, nie żyjemy złości ku żadnej istocie, nie dopuszczamy do siebie owego zadowolenia zmysłowego, które to straszne jest źródłem cierpienia. Wiemy wszyscy, iż wola bardziej jest ochocza niż duch i przeto często pewnie jeszcze potykać się będziemy w przeprowadzeniu dążeń naszych, choć starać się będziemy, odmawiać sobie radości ziemskich i odnosić się do wszystkich istot z sercem pełnym dobroci i miłosierdzia. Gdy wszakże wola ku dobremu i czystości korzenie w nas zapaści — osiągniemy drugi stopień ścieżki: Sammāsankapa, prawe dążenie.

Kto działanie swoje na szczerych buduje pobudkach, nie potrzebuje ukrywać prawdy; kto bliźnich swych prawdziwie kocha i nie żywi dla nikogo nienawistnego usposobienia, ten tylko uczciwych i łagodnych słów używać będzie. Z sposobu mówienia danego człowieka wywnioskować możemy charakter jego i jeżeli „prawe dążenie” w człowieku owoce przynosi, wstępuje on na stopień trzeci, prawą mowę, Sammāvaca. Kto bezwzględnie zawsze głosi prawdę, kto nigdy nie używa słów szorstkich i ostrych, kto w mowie swej wypowiada mieszkającą w sercu miłość i litość, ten osiągnął już trzeci ścieżki stopień.

Ponieważ myśli i słowa wewnętrzną istotę człowieka potężnie przeinaczają, ponieważ miłosiernie usposobienie, miłosiernie czyni wywołuje, — dlatego zwie się stopień czwarty: prawe postępowanie lub prawe działanie. Kto na ten szczebel wpiąć się zdołał, tego wyteżone starania jako to prawdziwe poznanie i troskliwe obieranie słowa, dadzą obfity plon — może dopiero po wieloletnim



Rytmus — Eli Nadeimann

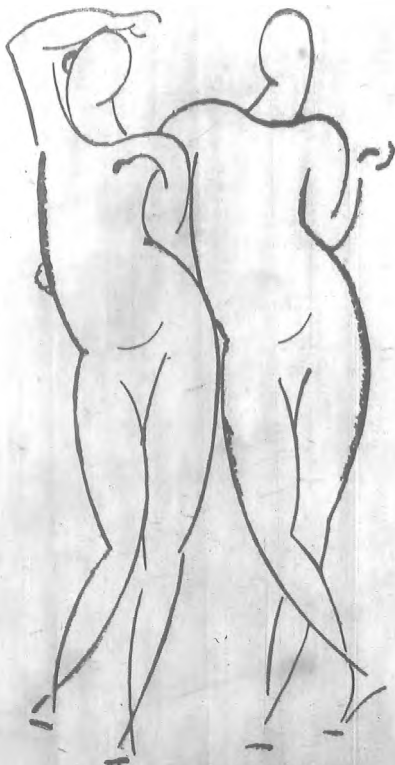
badaniu samego siebie, lecz wreszcie sprawi, iż wszelkie jego działanie będzie pełnem miłości, czystem i bez jakiegokolwiek oczekiwania nagrody — i przestąpi on wtedy stopień czwarty: Sammākamanta.

Gdy zaś święty ten zwyczaj prawego działania stale świadomie wzrastać będzie; gdy całe życie przeżyjemy jedynie dla wiary tej, która w nas działa; jeżeli ku temu poświęconemu celowi skierowany będzie każdy poszczególny odruch codziennego życia, a nawet każde poruszenie się we śnie; jeśli żadna myśl, żadne działanie okrutne lub niemilościwe nie splami istoty naszej — osiągniemy stopień piąty: Sammājīva, prawe życie. Kto cofa się przed wszystkim, co by innym ból sprawić mogło, żyć będzie beznagannie, i tem się tylko zajmować, co nie wywołuje cierpień w skutkach swych.

Na tego, kto tak żyje, twierdzą święte pisma, spływa moc i siła, nieznana ludziom zwykłym. Długoletnia karność i panowanie nad sobą uzdolniły go ovladnąć swem usposobieniem; może on teraz przenosić wszystkie swe siły potężną mocą na jakikolwiek przedmiot — a zdolność, używania sił swej istoty i stale wzmaganie się potęgi woli — wprowadzają go na stopień szósty, Sammāvayāma, co znaczy „prawo wysiłki“, choć lepszem określeniem na to byłoby: „prawa siła woli“ lub „prawa energia“, gdyż przez wysiłek wstępuje się już na pierwszy stopień. A gdy człowiek osiągnie siłę, która go zdolnym uczyni, myśli swe każdej chwili na jeden przedmiot skierować i ujaźnić, pamięta on, czuwając czy śpiąc, czem jest i jaki jest cel jego życia, i ta stała „pamięć“, ta ciągła koncentracja ducha na ostateczny cel walki — to stopień siódmy, Sammāsati, prawa pamięć. Wskutek potęgi nadprzyrodzonych tych zdolności wznosi się człowiek, przez ośm tych ogniw transcendentalnego Widzenia do progu Nirvāny; aż wreszcie w tem jeszcze życiu, jak „Nirodha Sampatti“ mówi, do „nieśmiertelnego brzegu Nirvāny“ doplynie. Dzieje się to mocą Sammāsamādhī, przez „prawą kontemplację“, ósmy stopień świętej ścieżki. Człowiek taki pielgrzymkę zakończył, zniszczył źródło wszystkich swych wiewów życiowych, stał się świętym, arahā, Buddhą.

Potężniejszym niż światła książęta,
Od bogów światła nawet pogodniejszym
Co nieszczęsnego więzienia
Zerwał bolesne okowy.
Bezgłośnie płynie mu życie
Ku głębi spoczynienia
W pokój wieczysty.
Święte wytechnienie!
Tyżś to owym
Nigdy niezmiennym
Tamty światła brzegiem.

Otóż, moi bracia, krótki przegląd religii wyznawców Buddy, krótki opis duchowej drogi, którą stale mają przed oczyma. Jak wiecie, sumaryczne takie przedstawianie może tylko dać zarys całości i uważać je można li tylko jako wyjątki z tego zakresu. A ponieważ już wskazałem wam w wykładzie swym, który opiera się na świętych pismach i materiał ten w nowo tylko ubiera słowa, gdy wskazałem drogę i cztery prawdy dostojne — pozwólcie mi, powiedzieć jeszcze słów parę, co myślę o prawdziwym buddyzmie i o zarzutach przeciw niemu. Jak wiadomo, rozmaicie, rozmaici ludzie, między nimi wielu uczeni, oceniali buddyzm: jedni zwali go materializmem, jedni pesymizmem, inni podziwu godnym systemem uzasadnionej etyki; znów innym zdaje się on być tylko starożytną formą nowoczesnej filozofji agnostycznej. Że buddyzm zawiera w sobie pierwiastki wszystkich tych twierdzeń, bezsprzecznie jest słusznem; lecz nigdy nie uwierzę, by



Rytmus — EH Nadolnau.

czysto logiczne teorie o duszy i życiu przetrwały dwadzieścia i cztery wieki i jeszcze były teraz największą religią na świecie. I ztąd to wydaje mi się, że owe czysto filozoficzne pytania, jako to: Czy dusza istnieje, czy nie? Co się odradza? i t. d. zgola nie tworzą istoty buddyzmu. Gdybym miał buddyzm jednym określić słowem, rzekłbym: Miłosierdzie! Miłosierdzie, gdyż zawiera ono i miłość i cierpienie, a to podstawy naszej wiary. Gdy widzę, że człowiek, który pełen głębokiego miłosierdzia, choćby i daremnie, stara się pojąć w całej rozciągłości wielki bieg życia i śmierci, że człowiek, który serdeczną czuje sympatię dla wszystkich żywych istot, gotów wszystkim i wszędzie dopomagać, — w moim mniemaniu człowiek taki jest Sammaditthi, jest na pierwszym stopniu ścieżki — choćby i pozatem wierzył w siedem rodzajów dusz. Miłość i miłości pełne działanie, — oto oznaki buddhysty, a wszelkie owe niełatwe rozmyślanie o działaniu Karma, a częściach składowych istot żyjących i t. d. bardzo są wprawdzie dobre i pożyteczne dla tych, co tego pragną, lecz nie są istotą rzeczy. Kto czynem prawo stwierdza, ten jest Sammaditthi, a stwierdza czynem prawo człowiek łagodny i miłosierny i taki, co najwyższy swój ideał widzi w Mistrzu naszym, w Buddhzie. Kasta kapłanów jego czasu, owi niedostępni bramini, co to starali się tłumić rozszerzanie się duchowej świadomości wszelkiego rodzaju, by utrzymać dla siebie zarobki i uznanie u ludu — ci próżni, głupi ludzie nazywali Mistrza materialistą i ateistą, bo wzbraniał się, zamknąć nieskończoności w ograniczone formy i ubierać ją w czcze słowa, ponieważ oddalał od siebie namowy do przytakiwania ich spekulacjom o powstaniu świata. To jedno wiemy o nim, że był on najmiłosierniejszym z wszystkich ludzi, jeżeli więc, o bracia, nas dziś przezywają ateistami i materialistami i jeżeli nas tem chcą poniżyć: l owszem niechaj nazwa ta będzie nam tytułem honorowym, gdyż tak nazywali i Pana naszego. A że starać się powinniśmy, o ile tylko w naszej mocy, dążyć do jego mądrości, wyrzeczeń się świata i przedewszystkiem nieograniczonego miłosierdzia: toć to, mniemam, cel całej pracy życiowej i myślę, że temsamem wyrażam zapatrywanie wszystkich naszych współwznowców.

Z pewnością wielkie jest to dzieło, iż Mistrz nasz twórcą był systemu metafizycznego, który w subtelnościach przeciąga nawet najodważniejszy lot filozofii zachodu, i podziwu godne, jak w Abhidhamma tłumaczy subtelne odruchy ducha, by wykazać, jako myśl w zarodku stłumić można, — lecz to nie te wartości, co spowodowały sławę jego Dhamma i dały mu panowanie nad jedną trzecią całej ludzkości; nie

tej nadprzyrodzonej wiedzy zawdzięcza buddyzm dziś wpływ swój na pięćset milionach serc ludzkich. Czy sądzić, że filozoficzne rozmyślanie tylko i czysto logiczne systemy posiadałyby taką siłę przyciągającą na umysł ludzki? Z pewnością nie; źródło w tem jest, że życie Buddy było wiernem odzwierciedleniem nauki jego — nieskończona miłość, czystość, mądrość i nieograniczone miłosierdzie. Te moce potężną uczyniły wiarę naszą na ziemi, i póki tylko na planecie naszym mieszkać będą istoty ludzkie, których serca bić będą miłością i miłosierdziem ku wszystkim stworzeniom, póty i królestwo Buddy istnieć będzie. I cóż to za państwo! Pomyślcie, jaką cudowną moc i siłą utrzymuje je! Sądzicie, że gdyby Buddha ziemskim był mocarzem, imię jego znanem by było więcej niż dziesięciu studentom historii starożytnej? A przecież państwo jego ~~znaszenie~~ dziś większe, niż państwo niegdyś Aleksandra, choć tak już dawno od czasu, gdy nauczał.

Dwadzieścia i cztery wieki już upłynęły a imię Buddy dziś jeszcze na pięćset milionach ust, królestwo jego w pięćset milionach serc a nauka jego ideałem pięćset milionów żyć. I cóż łączy całe to rozległe państwo? Cóż za potężna pobudka powoduje jedną trzecią całej ludzkości ku czci tej nauki? Czyż mieliśmy może wojska silne by zdobyć dla siebie tę trzecią część ludzkości? To duma nasza, że nigdy w imię Mistrza nie zostało zniszczone żadne stworzenie. Czy posiadamy potężny, wpływowy stan kapłański? Patrzenie, to nasi święci mężowie, pragnący żyć życiem polecanem przez Mistrza — to oni, proszący o pożywienie przed waszemi drzwiami. Jakąż to cudowną, nadludzką mocą utrzymuje się ta religia, bez boga-osoby, ze swą czcią bez paciery, z swem niezorganizowanym duchowieństwem — ta religia rozciągająca swe panowanie nad jedną trzecią naszej rasy? Miłość to, Mistrza naszego, miłość i miłosierdzie, — jego współczucie i prawdy, które nam objawił: oto potęgi, które religię naszą podtrzymują; kochamy Mistrza dla jego miłości, którą był natchniony, dla jego żywota, który nam dał na przykład, dla prawdy, którą głosił — i w każdej chwili życia naszego, w tajnikach istoty naszej znajdziemy potwierdzenie prawdy jego nauki, ścisłości jego analizy, doskonałości jego poznania. —

Następujący punkt, jak słyszę, też jest powodem wymówek nam robionych: My, którzy uważamy, że Mistrz nasz uszedł już „w oną ostatnią krainę, gdzie nie istnieją już żadne pojęcia ziemskie“, my, mimo to uciekamy się do Buddy w naszych codziennych ćwiczeniach pobożnych. „Jakże możecie“, wymawiają nam, „uciekać się do Buddy, o którym sami przecież twierdzicie, że już „nie istnieje“, jak ucie-

kać się do Dhamma, spisane go w księgach, które chronić musicie przed zniszczeniem od moli i owadów; — jak uciekać się do Sangha, którego członkowie składają się w przeważnej części z nieuczonych ludzi? Na to odpowiadam, że ten Buddha, Dhamma, Sangha, którego ci ludzie mają na myśli, nie jest ów, którego my czcimy. Uciekamy się do Sangha, ponieważ ci, co go tworzą, uczeni czy nieuczni, przynajmniej starają się naśladować ideał życia; bo każdy z nas ufa, że nadejdzie dzień, kiedy na tyle uczujemy się wolni, by w czyn zamienić życie wyrzeczeń się, nauki i miłości, co jako ideał jaśnieje w sercach naszych, bo wreszcie, Sangha jako taki jest symbolem idealnego życia, które to prowadzić pragniemy. Uciekamy się do Dhamma, spisanego nie tylko w książkach, lecz przedewszystkiem w sercach, a sądzę, że i w życiu naszym. Dhamma w istocie swej, to nie czysto ziemskie, li tylko na ten świat ograniczona „wiera“, lecz potężne prawo, działające poprzez przestrzeń i czas, póki wszelkie stworzenia nie staną się uczestnikami światłości; prawo miłosierdzia i miłości, które ogarnia wszystkie istoty tak na najodleglejszej gwiazdzie jako i tutaj na ziemi i które wszystkie istoty zaprowadzi ku wielkiemu pokojowi Nirwany. — A wreszcie: uciekamy się do Buddy; ach, czyż to rzeczywiście konieczne tłumaczyć wam, dlaczego to czynimy? Któż inne życie na tej ziemi tak potężne wywarło wrażenie na serca ludzkie? Nie był on Bogiem, lecz człowiekiem jako i my, i dążył naprzód, jako i my staramy się podążać, lecz dla niego nie istniało cofanie się. Cierpiał, jakbyśmy cierpieć nie umieli, gdyż wierzył, iż przez to znajdzie drogę dla nas, ku pokojowi; żadne nieudane przedsięwzięcie nie zniechęciło go nigdy, aż w końcu zwyciężył. Gdy wybiła dla niego godzina odejścia, pocieszał płaczącego ucznia słowami: „Anando, nie myślcie, iż po odejściu moim, nie będzie z wami nauczyciela. W nauce, którą wam głosiłem, żyć będę nadal, nie mniemajcie przeto: nie mamy już nauczyciela!“

I stąd rzeczywiście nie sądzimy, jakobyśmy byli bez nauczyciela. „Lotus wielkiego prawa“ odszedł wprawdzie ku spoczynkowi, ku wielkiemu spokojowi, prochy jego rozsypane na cztery świata strony, lecz woń miłości jego i niezrównanego miłosierdzia dotąd przepelnia ziemię i wszyscy odczuwamy, że świat lepszym jest, czystszy i miłsierniejszy, dlatego, że Mistrz mieszkał niegdyś między nami. Czytając słowa jego w pismach świętych, starając się, zbliżyć się codziennie choć o krok tylko ku ideałowi, który nam stworzył, wtedy odczuwamy, że Mistrz nie opuścił nas. To jego głos, przemawiający do nas z nauki i z głębokich, ciemnych tajemnic życiowych; to jego głos,

gdy potykamy się, pociesza nas i wspiera, wołając nam, że wielkie prawo trwać będzie wiecznie i niezmiennie i że każde prawe dążenie musi w przyszłości wydać swój plon; — to jego głos i jego nieporównana nauka, która w nas wlała miłość ku wszelkiemu stworzeniu i miłosierdzie dla wszelkiego cierpienia i prawo to wreszcie, gdy niestrudzenie walczyć będziemy by je wykonać, zaprowadzi nas w końcu do celu walki, do wyniszczenia w nas potrójnego ognia żądy, nienawiści i zaślepienia — do tamtego brzegu wiecznie płynącego potoku świata — do nieograniczonego światła Nirwany, do głębokiego spoczynku, do wiecznego, świętego pokoju!

Spolszczyła W. H.



Drawing by — Malgoszata Kubicka.

GWIAZDY SPADAJĄ

MARJA ZABOJECKA

Gwiazdy spadają cicho, bezszelestnie —
Cicho w otchłanie lecą nienazwane.
Noc jest sierpniowa. Cisza niebem włada —
Cisza na niebie od krańca do krańca,
Cisza ta sama, co u dni początku
Stała na niebie i jak dziś jest ciszą
Była nią wczora i będzie po wieki
Cichością nieba niezmienną, tajemną.
Spadają gwiazdy — jedna i znów jedna...
Świetlistą smugą znaczy się przez moment
Ich lot obłędny, a potem na nowo
Noc jest na niebie, noc ciepła, sierpniowa,
W cichość spowita, cichości nakazem
Aż do otchłani sięgająca onych,
Kędy umarłe poleciały gwiazdy
W milczenia moc.
I znowu światłość — : znów skołała jedna
Wśród gwiazd mirjadów, co uśmiechem złotym
Ponad otchłania zawisła beztrakoła.
Grobu nie widząc i nie bacząc zgonu
Tej, co w czas życia, siostrzycą im była...
W grób niewiadomy leci sama jedna...
Na jakie losy? Kto zgadnie? Kto powie?
Cichsza jej śmierć od westchnienia.

Ta jest godzina, o siostry, ta jest godzina,
Kiedy będziemy śpiewały Samotności pieśń!
Pani Samotnej będziemy wysławiać imię
W tę porę świętą! Bowiem na spotkanie z Bogiem
W spadających gwiazd porę wychodzi Samotność,
Pani naszych dusz! Cześć jej niech będzie i chwała!
Z dzierzaw swych idzie zaklętych, z głębin bez miana —
A źrenice jej płoną, jak pochodnie nocy...
Podajcie dłonie, o siostry! Naprzeciw wyjdźmy
Przyjaciółki tej naszej z śpiewaniem na ustach
Z dziękczynień pieśnią! Zdziwieniem duszy ją sławmy!
Tę sławmy, co za chlubę ma sobie jedyną
Wierną nazwaną! Wieczysta i niepojęta,
Obecna wszędy, przehojna darów niebiańskich
Szafarka, śmierci mocarnej siostrzycą, sprostą
Korną się mienią! Jest wierną!

Sława jej i cześć!

Wspomnijcie, siostry, opowieści Matek...
Z tych przątek losu, co je przywoływał
Głos troski pełen do kolebek naszych,
Tylko Samotność przybyła jedyna...
Tamte w odległych bawily się stronach —
Aż podążyły. Więc gdy ta Samotna
W progi wstąpiła stęsknioną, gdzie drżały

Czekaniem serca — : „Za morzem jest dola,
Za siódmą górą!“ — wyrzekła, tłumacząc,
Że nie przybyła na błaganie Matek
Dola-Świetlana. „Zapomniała, płocha, —
Mówiła — „o dniu, — godziny nie pomni!
A przybiedz miała napewno i dary
Widziałam, jako szykuje przeszczone...
W zmroku, przymknąwszy oczy, wczoraj jeszcze
Widziałam, jako ze Szczęściem się zjawia,
Sieci misterne, co to w nie momenty
Łowią się szczęsne, bacznie upatruje,
Na dar je znacząc. Słyszałam, że Radość
Ku sobie wzywa, spieszyć jej się każe...
W szatach szumiących,
Piękna i wspaniała,
W blasku i połyskach,
W orszaku uśmiechów
Z piosenką na ustach,
Jawiła się Radość.
Wdzięcznie dzwoneczkami dzwoniła srebrnymi
I piłki jakieś lekuchnemi rzuty
W zprok podrzucała... Mieniły się tęczą...
To oto piłki i dzwoneczki dźwięczne
Na dary chrzestne upatrzyła Dola...

Blask w nich był, chichot... Szumu bardzo wiele...
Widziałam jeszcze, że i od Godziny
Sandałów złotych prosiła, co biega
Beztroskim biegiem w Jutro wolne troski,
Po dniu, co minął nie ponosząc pyłu.
Widziałam... wczora... Biec miała co żywiej
Dola-Świetlana!... Snać nie podążyła...
Przybywam przeto sama!“ Tak mówiła
Samotność matkom. Lecz kiedy ujrziała,
Że na tę mowę blask pogasił i światła
W żrenicach, które do kolebek naszych
Doli wołały, rzekła jeszcze, mówiąc:
— „Przec się smucicie? Imię moje: **Wierna**
Czyliż nie znacie wiernej Samotności?
I państwa mego, i mocy, i czarów?
Ja, Niepodzielna, dzielę je z owemi,
Co się pod moje oddają władanie!
Czyliż z pustemi jawią się rękami?
Przec się smucicie?“ Wtedy cicho, cicho
Tak cicho niemal, jako z rzęs spływa łza,
Słowa wionęły z głębi serc matczynych:
— Znamy cię, znamy! Smutne twoje oczy,
Żałosna mowa! Lecz z pośród zjaw wielu,
Ty jedna słuchasz wołania, jawnisz się,
Jesteś ty jedna! Gdy więc nie przybyła
Dola-Świetlana, my, co mądre znamy
Wyrzeczeń prawo, ciebie pozdrawiamy
O najwierniejsza! Łaską wyświęć swoją
Dusze, co twojej powierzamy pieczy!

Matkę — samotnie wysłuchaj błagania:

Bądź Matką! —

Wspomnijcie, siostry, wspomnijcie!

O Samotności, Łasko, kto raz doznał
Pieśniedzi twojej, już jej nie zapomni,
I z jedną tylko zrówna ją pieśniedzią,
Z pieśniedzią Matki! Jak Matka przychodzisz,
Cicho, cichutko — kroków twych nie słysząc —
Przychodzisz wtedy, kiedy z pośród świata,
Matki lub ciebie potrzebuje dusza!
W chwili się jawisz, która zwie się czarna,
W chwili, od której o stoje za ledwie
Grób leży... Przyszedł i dlonie łaskawę
Kładziesz na głowę, dłońmi matczynymi
Oślepie pieścisz oczy! Nie wymawiasz
Słów płonnych, Łasko, dźwięków, których beznoc
Znasz sama jedna! Ale pod pieśniedzią
Dłoni twych zwolna przenikać poczyną
Światło w oczy cma tknięte. Widzą niebo — —
Gwiazd bieg niezmienny widzą, nieskończony,
W tajemnej losu poczęty godzinie,
Tajemną drogą ku celom tajemnym
Idący. Wzdychasz!... Wieczność widzą oczy!
W nicość zapada postać nikła chwili!
Jaźń widzi Boga!... Bóg się duszy jawi!
Samotność z Bogiem
O wieszczko boża, z nieba jesteś rodem,
Odmienion świat jest mocą twoją wielką!

O Samotności, Bajko, kto raz słyszał
Głos twój i mowę, już ich nie zapomni...
Jest w twoim głosie szum wieczysty morza
I dale jego, i głębie, i gra fal
Beztroska, młoda, pian pełna i światła
I złotych pyłów. Jest w twojej powieści
Lśnienie i jasność przestworu bożego
I boru mroki, boru klechda cudna
W noc świętojańską... Gdy o szczęściu mówisz
Serce dzwon słyszy, co na niezgodne
Bije spełnienie! Kiedy mówisz: „miłość!”
Kwiat tajemniczy rozkwita w pomroce,
Pachnie noc całą i czasem o brzasku
Trwa jeszcze. Gdy zaś o Śmierci bań przedziesz,
Gwiazdy spadają cicho, bezszelestnie,
Noc wygwieżdżona panuje nad światem
I gwiazd zgon... Czasem zaś mówisz milczeniem...
Natenczas puszczy dech słysząc złowrogi,
Zwierząt pustyni miłosne wołania,
Skowyt i poryk, klów drapieżnych zgrzyty,
Lament żalony rozszarpanej łani...
Życie milczeniem sławisz, o Przemądra,
I w twym milczeniu płacze życie całe!

O Samotności, piękna, piękna! Kto raz
Zajrzał w twe oczy, już ich nie zapomniał
Jak czarów otchłań kuszą i wołają
Mroczne oczy twoje, głębią nęcą,
Zakłębem mocnem przestrasz zaklinają
Serca, że milknie! Wtedy bez pamięci
W przepaść twych oczu leci, leci dusza!
Zrazu nie widno nic, lecz zwolna, zlekka,
Żrenic twoich noc rozświetlać się pocznie
Jak woda, w śnie swym zamknięta, gdy zdali
Miesiąca trąci ją pieśń...

... Park się jawi
Stary. Szeleszczą liście... Drży szum słodki
Tych liści złotych, jak zwierzeń tajnych szept...
Lata babiego chwieje się nić... Amor
Śniady naciąga cięciwę i w przestwór
Strzałę posyła... Nimfa się uśmiecha...
Szemrzą kaskady... Wśród liścia topieli
Zaduma stąpa, szaty długiej krajem
Liście powiedle zbiera, zbiera... Znika...
Zniknęła. Nagle rubieże się srebrzą
Mgliste jakowejs krainy snu. Białe
Pałaców widać ruiny. Ze zmroku
Postać wykwita znana... lica znane...
Drży serce, płonie... Kłoni się, uwielbia,
Zamiera...

Lęka się wierzyć, nie wierzyć nie może
I zachwyt nieziemski nieziemskiego szczęścia!
On to jest, Pielgrzym! On, którego drogi,
Po dziś dzień jeszcze nie są snąć skończone!
W ślad za nim idą anieli, ci sami,
Co niegdyś wnieśli pod Piastową strzechę
Najradośniejszą wieść. Stał wędrowiec —
W niebo wznosił oczy... Coś dźwiękło... Czy w struny
Ktoś trącił?... Słowa się rozjękły stare:
„Nad wspomnianie szczęścia, co umarło,
Nie masz boleści!“ Chyli pielgrzym czoła...
Szłochem drżą mroki... I jako się zjawił,
Tak znika nagle w zmroku cień dostojny...
Tam, kędy ruin bielily się kości,
Las drzemie... Westchnął... Ach, czyżby się budził?
A oto zmierzch się wypełnia pachnieniem...
Coś pachnie cudnie... Róż! Czuje serce,
Że tych róż zapach nie zaginie nigdy!
W tem — fala... Szumi, szumi... Nenufary
Po wodzie płyną sennie... Noc się staje...
Spadają gwiazdy cicho, bezszelestnie...
I znowu cienie wypływają z nocy — — —
Sen to, czy jawa, tęskność czy spełnienie?
Wyście to wreszcie ukochane twarze!
Ach, jakże długo tęskni do was dusza!
Z fali jakaś się łódź wylania... Żagiel
Widać biały... Snąć pokoju to statek!...

U steru postać do ciebie podobna -
Błogosławiona Śmierci dobrej siostró!
Jakże cicho łódź płynie... Spadła gwiazda...
O Samotności, piękna, piękna! Kto raz
Zajrzał w twe oczy, już ich nie zapomni!

W spadających gwiazd porę, na spotkanie z Bogiem,
Wstaje Samotność. Podajcie, o siostry, dłonie!
Niechaj nie czeka! Przeszczęsne, idźmy naprzeciw
Przyjaciółki tej naszej z śpiewaniem na ustach
Z dziękczynień pieśnią! Radością duszy ją sławmy
Na wieki!



Drzeworyt oryg. — Władysław Skotarek.

PR. RAWITA-GAWROŃSKI.

LITERATURA RUSKA
DO KOŃCA XVIII WIEKUKRYTYCZNO-SYNTETYCZNY POGLĄD
NA JEJ ROZWÓJ I CHARAKTER.

(C. D.)

II. POCZĄTEK LITERATURY RUSKIEJ.
JĘZYK SZTUCZNY. — WERTEPY.

Pomimo wielkich różnic, jakie zachodzą w języku obu grup, kijowskiej i wschodnio-galicyskiej, są jednak cechy ideowe, narodowe i kulturalne obu grupom tak wspólne, że można je uważać za dwie gałęzie wspólnego pnia narodowego, a pierwsze kroki obu grup na niwie tworzącej się literatury, pozwalają ująć wszystkie dotychczasowe usiłowania w jedną całość.

Różnorodność plemion słowiańskich, rozsiadłych między środkowym Dnieprem a Karpatami, ujawniła się w różnorodności odcieni językowych, które z czasem utworzyły mniej więcej jednolitą narodowość ruską i takąż samą niewyraźną jednolitość literacką. Kiedy i gdzie począł się kształtować język literacki, który z czasem przybrał miano ruskiego, zwanego dziś ukraińskim, niepodobna dokładnie wskazać ani miejsca ani czasu. Z jakiego właściwie pokrewnego pnia on urosł — niepodobna dać wyraźnej odpowiedzi. Niekiedy odnoszą istnienie ruskiego języka do czasów napisania kroniki kijowskiej (Nestora) i Słowa o pułku Igora, znajdując już tam późniejsze języko-twórcze pierwiastki. Do XII i XIII wieku odnoszą się zatem początki literatury ruskiej. Z równem prawdopodobieństwem można by odnieść — do Adama i Ewy.

Wiemy, że z religią według wschodniego obrządku przyszedł na Ruś alfabet i język cerkiewny bułgarski. Przyniosło go duchowieństwo, tak samo jak do Polski język łaciński. Otóż ów język liturgiczny legł w ośnowę późniejszego, jeżeli można tak powiedzieć, ruskiego języka litwackiego. On przedewszystkiem dostarczył pewnej sumy gotowych wyrazów dla określenia nieznanych dotychczas pojęć i do wyrażania myśli. Filologia może oznaczyć co, skąd i jaką drogą wejść mogło do tej mieszaniny językowej, którą kościół grecki na Rusi posługiwał się i którą narzucił ostatecznie, jako język, że tak powiem, piśmienny, wiążącemu się państwowo młodemu społeczeństwu. Oczywiście, do tej mieszaniny wchodziły w znacznej mierze pierwiastki swoiste, miejscowe lub wogóle słowiańskie i w ten sposób urabiał się, przy bardzo małym zapasie wyrazów języka lu-

dowego, język sztuczny. Ponieważ przedewszystkiem duchowieństwo znało ten język i posługiwało się nim w piśmie i ono też przedewszystkiem reprezentowało to co możnaby nazwać umysłowością na Rusi, przy jego pomocy stawał się on niejako urzędowym, czyli językiem wzajemnego porozumiewania się za pomocą pisma. Taką drogą język ten, zgola sztuczny, z cerkwi przechodził do wszelkich aktów publicznych, a nawet do utworów o charakterze literackim jak Słowo o pułku Igora, w Pouczeniu Monomacha, Izbornik Swiatosława (1073—1076), wreszcie kodeks prawny, znany pod nazwą Prawdy Jarosława. Zaznaczyliśmy tylko prawdopodobne pochodzenie tego języka, który kształcąc się powoli i przybierając coraz więcej pierwiastków ludowych, stał się z czasem językiem kancelarii politycznych, najpierw tam gdzie panował obrządek religijny grecki, a wreszcie przeszedł do Polski w stosunkach z Moskwą, Rusią, Wołoszczyzną, Księstwami litewskimi a nawet hanatem krymskim jako język urzędowy czyli dostępny ludziom wykształconym pod kierunkiem duchowieństwa, a rozumiały ludowi — do pewnego stopnia.

Wspomnieliśmy o najdawniejszych początkach, jakie do nas doszły, języka piśmiennego, używanego w Kijowie, ale jakim językiem posługiwał się w owym czasie lud, — zgola nie wiemy. Zdaje się, że ta kwestja pozostanie w nauce nie rozstrzygniętą stanowczo. Istnieją w obecnej dobie dwa obozy filologów, spierających się o to jak mówiono w Kijowie w XI i XII wieku? Co ważniejsza, że obie grupy opierają się na tych samych dokumentalnych szczątkach. Jedna utrzymuje, że mówiono „po rosyjsku“, po wiołorusku, drużdy — że „po małorusku“. Zdecydowanym przeciwnikiem ukrainizmu wszelkiego w szczątkach starokijowskich przeważnie jest członek Akademii w Petersburgu Sobolewskij. Grupa małoruskich filologów natomiast, opierając się na fonetycznych właściwościach niektórych wyrazów z tego okresu i sposobu pisania ich, utrzymuje, że „starokijowski gowor“ był — małoruski. Między innymi najnowszym obrońcą tej tezy jest A. Krymskij, opierając się o takie powagi jak stary Jagisz.

Spór ten zgola nie jest ani zakończony ani wyjaśniony. Dowodzi on raczej, że w owym czasie języki, któreby można nazwać rosyjskim lub ruskim nie istniały w formie i charakterze zbliżonym do dzisiejszych, a fonetyka lub używanie pojedynczych wyrazów (Koń = łosząd') nie mogą stanowczo przechylić szali na jedną lub drugą stronę i nie mogą one zgola służyć dowodem istnienia języka rosyjskiego lub ruskiego, a raczej są świadectwem nie

ustalenia się żadnej grupy, tembardziej, że pomijane w polemice obu stron wpływy polskie, były i zachowały się dotychczas w języku ruskim bardzo wybitnie.

O jednolitości zatem „kijowskiego goworu” w wiekach XI i XII mówić być nie może na serio, — chociaż sprawa ta nie przestaje być kwestią — ambicji narodowych. Według wszelkiego prawdopodobieństwa język „kijowski” ówczesny był dopiero w okresie kształtowania się i jeszcze z grupy ogólnosłowiańskiej nie wydzielił się.

Nie był to wszakże zgola język ruski, a tembardziej jakiś ukraiński, lecz posiadał tak wiele cech ogólnosłowiańskich, że używany w aktach i dokumentach polskich już XIII i XIV w. niewiele różnił się od polskiego — chyba alfabetem. Mimo odrębności religijnej, Ruś cała była za pośrednictwem Polski pod wpływem polsko-lacińskiej kultury tak wielkiem, począwszy od pogromu mongolskiego, że ruski język literacki formował się zupełnie odrębnie. W ten sposób tworzyły się dwa wielkie odłamy językowe: jeden północno-wschodni, z którego powstał późniejszy język rosyjski, a drugi południowo-zachodni, z którego utworzył się z czasem dzisiejszy język ruski, używany w Galicji wschodniej.

Główne środowisko umysłowości ruskiej było w Kijowie, wogóle z prawej strony Dniepru, to też tutaj począł kształtować się powoli język literacki, wydobywając się z opieki duchowieństwa i jego wpływu.

Z chwilą utworzenia szkół w Kijowie, „łacino-polskich”, jak się mówiło, a szczególnie Akademii Mohylańskiej m. w. w pierwszej połowie XVII w., rozpoczęła się praca umysłowa przeważnie w kierunku lub pod wpływem religijnym, w której dopatrzeć się można początków czyli narodzin literatury, obejmującej potrzebę i charakter współczesnej umysłowości ruskiego społeczeństwa. Przeważnie była to literatura o treści religijnej i polemicznej. Tak jak unia wywołała w Polsce rozwój języka i literatury — pomijam inne czynniki, — tak samo na Rusi stała się ona podniętą i sygnałem do podjęcia walki z katolicyzmem i unią. Ponieważ szersze warstwy ludności ruskiej w tej walce nie brały czynnego udziału, a wszelkie walki Kozaczyzny z Rzązą polską nie posiadały z początku zgola charakteru obrony narodowości i religii, literatura ruska czerpała swoje soki z jedyne go źródła, dostępnego masie ludowej — religii. Literaturze tej dało początek duchowieństwo wschodniego obrządku. Rozwój szkoły Brackiej, a później Akademii Mohylańskiej, który objął szersze sfery ludności, do tej rodzącej się literatury począł wprowadzać nowe idee, nowe motywy, wsuwając je nieśmiało w treść religijno-moralną utworów, wychodzących

z pod pióra uczniów i profesorów szkółek cerkiewnych. Od połowy prawie XVII w. powstaje prąd, który można by nazwać literaturą szkolną — są to tak zwane z ruska Wertepy, a później interludje i intermedje. Jakkolwiek były to z początku pewnego rodzaju ćwiczenia szkolne, pisane według wzorów łacińskich i polskich, wciśkał się już do nich powoli pierwiastek i język ludowy. Spotyka się w nich motywy legend ruskich, pieśni ludowych, a nawet odnajduje się ślady Dum z tak zwanego epozu kozackiego, który powstał zupełnie niezależnie od literatury piśmiennej, książkowej i był wytworem powstałym z życia kozackiego społeczeństwa. Wspomniymy o nim w swoim miejscu, mówiąc o twórczości ludowej.

Literaturę polemiczną, religijną, tej o której mówić wcale nie będę, jako mającej specjalne cele, badacze specjalistów i mało związaną z życiem wewnętrznym i politycznym narodu ruskiego, wyprowadził niewątpliwie tak zwany Wertep (Szopka) i stał się, tak samo, jak na Zachodzie, początkiem literatury narodowej. Było to udratyzowanie Narodzenia Chrystusa Pana. Wielki ten wypadek wstrząsnął całem kulturalnem społeczeństwem — greckiej i łacińskiej kultury, a na Rusi stworzył tak zwany „dramat wertepowy”. Wiemy, że niezrodził się on ani w Polsce, ani na Rusi, ale z zachodu, w formie już gotowej, przeszedł z Polski do Rusi. Drogą tego pochodzenia zajmować się wcale nie będę, bo wykracza ona poza ramy niniejszego szkicu, to tylko dodać należy, że dramat ten, jako środek oddziaływania na lud, powstał z inicjatywy duchowieństwa, a powoli do pierwiastków legendowych poczęto wprowadzać pierwiastek ludowy, najczęściej komiczny, w chęci zainteresowania szerszych mas, a potem — już tylko bawienia. Pochód tych zmian odbywał się dość powoli, zanim się przeobraził w szopkę nowożytną. W Wertepie występowały figury sztuczne, ubrane odpowiednio, Matki Boskiej, Józefa, aniołów, trzech króli, pastuszków na tle legendy religijnej. Niekiedy zjawiał się król Heród, mordowanie dzieci, symboliczne postacie diabłów, koniecznie czarnych i z ognem, Aniołów i Śmierci w postaci szkieletu, dźwigającego kosę, którą Śmierć odcinała głowę Heroda.

Wertep przedstawiał scenę, zwykle o jednym poziomie, na którym rozmieszczały się figury, poruszane stosownie do potrzeby i słów reżysera i recytatora, działającego poza widzami.

Wertepy o charakterze czysto religijnym przetrwały na Rusi prawie do połowy XVIII w. i potem treść ich poczęła się rozszerzać i zbliżać do życia codziennego. Do dawnych postaci biblijnych poczęły się przyłączać inne — najbardziej popularne w spo-



Drzeworyt oryg. — Stefan Samoj.

łeczestwie: kozak, góral, żyd, przebiegle oszukujący ludzi i kończący życie swojej ku zadowoleniu widzów, w pazurach szatana; nie brak bywało i Lacha w postaci komicznej. Pierwiastek humorystyczny, wprowadzony do wertepów wydał się duchowieństwu prawosławnemu zniewagą religij, zakazywało więc przedstawień wertepowych, krępując w ten sposób rozwój narodowy dramatu, usuwając z niego satyrę tych czynników, które w życiu ludowym wielką grały rolę. Niekiedy z wertepowemi dramatami łączyły się odpowiednie piosenki ludowe świeckie nabożne lub pochwały różnym osobom. Przeznaczone wyłącznie dla ludu, bohaterowie Wertepów odzywali się prawie zawsze jego własnym językiem i w ten właśnie tkwiła ich wartość jako zarodka przyszłej literatury narodowej.

Przedstawienia Wertepowe łączyły się bardzo często z misterjami co do charakteru, ale o misterjach w innym miejscu słowko powiemy.

III. LITERATURA NIEPIŚMIENNA. TWÓRCZOŚĆ LUDOWA.

Mieliśmy już sposobność powiedzieć, że używany przez ruskich pisarzy język nie był zgola ruskim, lecz amalgamatem lingwistycznym, sztucznie utworzonym, istniejącym poza obrębem większości — ludu, który go zgola nie znał i nie używał w mowie potocznej. Nie wiemy wszakże dokładnie ani jakim językiem posługiwał się, ani jakim zmianom i przekształcaniom ulegał w przestworze wieków aż do czasu kiedy poznany już został w formie skończonej. Nastąpiło to z chwilą zapoznania się z twórczością ludową ruską i wprowadzenia do literatury języka ludowego. A stało się to dość późno, bo w końcu XVIII w. Najbogatszy plon z literatury niepiśmiennej zebrany został w XIX wieku, a pozwala on objąć nam całą szeroką dziedzinę twórczości ludowej. Nie jest naszym zamiarem badanie tego tematu w całej jego obszernej wszechstronności, lecz dotknąć go musimy, ponieważ język ruski ludowy już od końca XVIII w. wchodzi w ośnowę narodowej literatury ruskiej, a pisarze ruscy zrywają zupełnie wszelką łączność z dawnym sztucznym idyomatem. W ten sposób nawiązuje się zerwane przed wiekami przez kościół wschodniego obrządku nić między ludem a przedstawicielami jego umysłowości i zakładają się podwaliny pod literaturę ruską nowożytną. Literatura ta usiłuje oprzeć się całkowicie o język wytworzony przez lud ruski, jest zatem do pewnego stopnia dalszym ciągiem tej pracy, którą lud samodzielnie już był podjął i nadał jej cechy własne, indywidualne, znamienne, często bardzo wybitne.

Twórczość ludowa objęła sferę swego życia w jego szerokiej rozciągłości, nie troszcząc się zupełnie o tę odosobnioną, często oderwaną od pnia ludowego garstkę pisarzy, używających sztucznego piśmiennego języka. Odzwierciedliła ona w całej pełni całość własnego życia, nie tylko w pewnej dobie tego życia, ale dawała także możliwość retrospektywnego wglądnięcia w jego szczegóły i charakter, jako też w charakter kultury obyczajowej ludu.

Zebrany i posiadany materiał nie pozwala nam sięgać w starożytność zbyt daleką. Z tej starożytności, już historycznej doby, doszły do nas zaledwie okruchy, z których zbyt śmiałych wniosków wyprowadzić niepodobna, gdyż mogą to być zarówno dalekie echa jak i reminiscencje książkowe, które w tej czy innej formie stały się podniętą dla twórczości ludowej. Co do niektórych punktów nasuwają się jednak uwagi daleko odbiegające od niektórych też, zdobytych niby jako pewniki przez badaczy twórczości ludowej. Ponieważ twórczość ta odbija przedewszystkiem życie współczesne, stać się może do pewnego stopnia nietylko wyrazicielką ducha, czasu, ale i duszy ludu, ponieważ jako pobudki tej twórczości służą bezpośrednie fakty, zdarzenia i wrażenia przeżyte. Z tego wychodząc stanowiska poezja ludowa, a szerzej rzecz biorąc — literatura ludu jest do pewnego stopnia historią jego życia, jest echem a nieraz legendą jego dziejów.

Jakkolwiek język ludowy ruski nie rychło wszedł do literatury, nadał jej wszakże tę cechę narodową, z głębi duszy płynącą, którą sam posiadał, a której brakło temu sztucznemu wytworowi lingwistycznemu, którym do końca prawie XVIII w. posługiwano się.

Twórczość ludu ruskiego, objawiająca się w literaturze niepiśmiennej, należy do najbardziej bogatych dzieł tego rodzaju literatury narodów słowiańskich, nietylko pod względem ilości, ale i jakości. Posiada ona ogromne bogactwo zwyczajów, obrzędowych, które sięgają czasów pogańskich i objawiają się bądź pod formą obrzędów weselnych, bądź zabaw (wrotar, Hoszyty szulaka, rozyhry), ogni świętojańskich (Kupało) i innych. Niektóre zabawy mają wybitnie historyczny charakter wpływów polskich (Korol; wybór króla i królowej). Ruska twórczość ludowa posiada niektóre cechy z zakresu świąt i uroczystości, związane bądź ze zwyczajami pogańskimi wspólnymi w rozmaitej formie całemu światu słowiańskiemu (wigilja Bożego Narodzenia, kutia i inne obrzędy), bądź o charakterze i temacie niewyjaśnionych dotychczas krytycznie w dostatecznej mierze — jak koladki i szchedrowki, o których niżej kilka słów powiemy. Mnóstwo przeżytków historycznych z życia rodzimego i publicznego przecho-

wało się dotychczas (babie lato, koszulka dziecinna, roświtki, porywanie dziewcząt, „harbuz“, rozwody i t. d.); niekiedy ślady dawnej wspólności ziemi pokutują w formie bardzo zmienionych przeżytków (siabry, las jako *res nullius*, wolne pastwisko dla bydła i in.), dających nieraz powody do nieporozumień i starć. Demonologia ludowa zajmuje bardzo wybitne miejsce w życiu ludu ruskiego; mieszanina poglądów religijnych pogańskich i chrześcijańskich jest pod tym względem prawdziwym węzłem gordyjskim. Lud ruski posiada własną poetycką zoologię: sowa jest ptakiem złowieszczym; wołowe oczko pochodzą od ojca, który bardzo kochał swoje małe dzieciątko; boża krówka (*Coccinella*) nazywa się słoneczkiem; orzeł jest zwiastunem smutku. Istnieje również taka sama poetycka botanika: jesion ma właściwość unieszkodliwienia gadziny, wilce — obrzędowa gałąź życia, czornobyl jest obroną od wiedzy, tak samo jak osieka, pokrzywa i inne. Wogóle twórczość ludowa ruska we wszystkich swoich odmianach i formach stanowi bogaty materiał porównawczy dla przyszłego historyka twórczości plemienia słowiańskiego.

Ogromnem bogactwem i rozmaitością odznacza się dział ludowy niepiśmiennej literatury, który da się ująć w tematy bajek, opowiadań, anegdot. Bajki o tematach mitologicznych i mitycznych (*Pro sonce, More, Jurnia i Potra; Pro morskoho Caria; Widowa duszka* i in.) zawierają okruszyny wierzeń pogańskich i nieraz mogą służyć jako materiał wyjaśniający mitologję słowiańską. Nie mniej obfity jest dział bajek i anegdot obyczajowych z różnej dziedziny życia ludowego, charakteryzujący stosunek chłopca do „pana“, do żyda, do Moskala, do cygana, do Niemca, a najciekawszy może ze wszystkich i najobfitszy stosunek ludu do duchowieństwa, pełen satyrycznego humoru.

Wspomnieć jeszcze należy o ludowej poezji lirycznej, która niewątpliwie należy do najbogatszej i najpiękniejszej w Słowiańszczyźnie. Poezja epicka bogactwem swoim może się tylko równać z serbską.

Dziwić się tylko należy, że przy takiej obfitej, bujnej, urozmaiconej i pięknej twórczości ludowej, którą lud ruski rozwinął w swojej literaturze niepiśmiennej, dając niezaprzeczalny dowód wielkich zdolności i bogactwa wyobrażeń, materiał ten pozostał dotychczas martwym. Dusza ludowa pozostała jakby oderwaną od literatury nowożytnej, która z bogatej skarbnicy jego długowiekowej twórczości nie prawie, oprócz tematów obyczajowych, nie wzięła, a skarby epickiej poezji umie tylko przerabiać na pospolite hasła nienawiści.

Zasłепieni bogactwem twórczości ludowej, badacze jej radziby twórczość tę, o ile ona posiada

charakter epicki, związać w najdalszą przeszłość historyczną Rusi. Robota ta wypaczyła się w dwóch kierunkach: w cofnięciu się do czasów historycznych Rurykowiczów i w fałszowaniu poezji epickiej (*Dum*), ażeby sztucznie zwiększyć bogactwo poezji ludowej. Zastanowimy się nad tem.

Pragniemy zwrócić uwagę głównie na ten dział literatury o charakterze historycznym, którego pochodzenie jest najbardziej spornem — a tak zwane koladki i *szczedrówki*. Koladkami nazywają pieśni, śpiewane od wieczora pierwszego dnia Bożego Narodzenia na cześć gospodarza i jego rodziny, za co śpiewacy otrzymują „pierogi“, różne pieczywo lub datki pieniężne. Kolędowanie odbywa się często z „kozą“, czyli jednym z uczestników, przebranym za kozę. Ostatniego dnia grudnia, w wigilię Nowego Roku młodzież, a często i starsi chodzą po wsi gromadkami, zatrzymując się pod oknem tego lub innego gospodarza i śpiewają wyłącznie do tego zwyczaju przywiązane pieśni, które lud nazywa *szczedrówki*. Śpiewaków częstuje się niekiedy wódką, zawsze jakimś pożywieniem (pierogi, kołacz, krzysze i t. p.), a niekiedy, jak przy kolędowaniu, datkami pieniężnymi. Pieśni te rozpoczynają się prawie zawsze tą samą formułą z niewielką zmianą w tytule, jak np.:

A u poli, u poli bily kameń leżył' —
Swiatyj wuzir!

Albo:

Oj na rieczci na Jordani —
Szczodryj wuzir!

Oj po moru, moru da po syniomu —
Szczodryj wuzir!

Oj u pana Danyła da na joho dwori —
Szczodryj wuzir!

Od tej inwokacji powstało niewątpliwie słowo *szczedrowat'* i rzeczownik — *szczedrówki*, jako aluzja do szczodrości gospodarza za hojne pochwały, których śpiewak nie żałuje. Niekiedy śpiewacy zwracają się wprost do gospodarza jako do „*szczodroho pana*“, pragnąc już z góry zaskarbić sobie względy — szczodrości. Dodać muszę, że koladki i *szczedrówki* typem, charakterem i układem mało różnią się od siebie; różnica leży tylko w czasie — zresztą bardzo bliskim siebie — kiedy są śpiewane.

Tematy koladek i *szczedrówek* nie są bardzo urozmaicone: najczęściej tematem takim bywa wojna, przygotowanie do niej, wyjazd gospodarza i jego rodziny, akcesoria wojny, pojęcie w poetyckim oświeceniu, uczty, podział zdobyczy, utarczki z Tatarami, wyprawa na wojnę syna przez matkę — i niewiele więcej. Każdy temat w rozwoju traktowany bywa w poetyckich metaforach.

Znaczyć należy godną uwagi osobliwość, że w pieśniach tego typu, gdzie jest ciągle mowa o wojnie i nieprzyjacielu, nie ma najmniejszej wzmianki o Polakach. Znajdujemy natomiast bardzo wyraźne wskazówki jakimi drogami na różne wyprawy chadzał „szczodry pan”.

Na try drożi, ta u try zemli:

Ódna doroha — ta w Wołoskuju,

Druha doroha — ta w Nimećkuju,

Tretia doroha — ta u Turećkuju.

Z Wołoszczyny jde — Wolyky žene

Z Nimeczyny jde — hroazyky nese,

Z Tureszczyny jde — konyki vede.

Jeżeli o zabawie „szczodrego pana” mowa — to występuje chart i sokół; „szczodry pan” siedzi zwykle na „złotym stonu”, „stoły zastawne kilimami”; przy podziale zdobyczy wódz, pan bierze sobie najlepsze rzeczy i „konja wronego”; jeśli zdobyte miasto ofiaruje mu dary — wszystkie odrzuca, a bierze najlepszą broń i „krasnaju pannu”. Cały ton i ogólny charakter tych pieśni tchnie starożytnością, ale jak odległą? Spotyka się w nich często takie nazwy jak Carogród, Chocim, Lwów, Kamieniec, a nawet Wiedeń („try panny z Widnia” w kolendach z Galicji), ale jest to, że tak powiem geografia ludowa. Z jednej strony fantazja ludu nie bierze w rachubę ani odległości ani rzeczywistości, a jeśli z chwilą powstania tych pieśni autorowie ich stali na gruncie faktycznej rzeczywistości, to dla późniejszych śpiewaków już ta rzeczywistość zatarła się, a nomenklatury Carogród, Lwów, Chocim, tak samo jak inne nowożytnie wyrazy, powtarzano i stosowano dowolnie.

Niewątpliwie, że koladki i szczedrówki nosiły charakter historyczności. Na tę historyczność zwrócili uwagę oddawna. Kulisz w swoich *Zapiskach* ostrożnie napomynał o niej z powodu jednej Dumy, zapisanej przez Szyszackiego-Ilicza w gubernji Czernihowskiej. „Duma ta — powiedział — odnosi się do morskich wycieczek Warego-Rusów do Grecji. O ile wnosić z treści można, bandurzyści oddawna już przestali ją opiewać, gdyż umysł ich zaprzątnięty był współczesnymi im wypadkami z życia kozaków.” Sam zaś napisał legendę o Złotych wrotach pod Kijowem, którą także uważał za pozostałość historyczną, przerobioną według fantazji ludowej. Duma zapisana i drukowana prozą przez Szyszackiego-Ilicza

w r. 1855 nosi tytuł: *Opowiadanie (skazanie) o bogu Poświstarz, a sam autor zatytułował ją jakoby: „Duma o wyprawie morskiej starszego księcia pogańskiego do państwa chrześcijańskiego.”* Tytuł ten lepiej odpowiadał głównemu tematowi Dumy, w której nieznanego ów skądinąd Poświstarz, podrzędną odgrywał rolę.

Z napomknien Kulisza skorzystali autorowie dzieła p. t. *Istoriaeskija pieśni małoruskawo naroda* — Antonowicz i Dragomanow. Byli oni o tyle w lepszym położeniu od Kulisza, że rozporządzali, we dwadzieścia lat po nim, już obfitszym materiałem ale też i większą fantazją historyczną od Kulisza. Dzieło cytowane jest pierwszą i, jak dotychczas ostatnią próbą usystemizowania pieśni historycznych ludu ruskiego. Rozpoczęte w Kijowie w latach 1874 i 1875, dokończone było do pewnego stopnia w Genewie już tylko przez Dragomanowa i doprowadzone do czasów rozbicia Kozaczyny i Siczy. Lwia część tej roboty, bo ideowa, przypadła synowi Bonifacego Włodzimierzowi Antonowiczowi, Polakowi z religji i urodzenia, który się uważał, jak kilku innych fantastów, do narodowości ruskiej.

Fanatyczny czciciel nowo przyjętej narodowości, Antonowicz nie tylko idealizował wszystkie najwstrętniejsze objawy życia ludu ruskiego w tej myśli, że w ten sposób dokonywa obrony jego wobec nieprzyjaciół, ale usiłował wynaleźć łączność dziejową między teraźniejszością a najdalszą przeszłością z okresu Rurykowiczów. Tembardziej wydawało się to potrzebnem dla chwały ruskiego narodu, że na północy, w głębi gub. Olonieckiej odszukano i spisano cykl opowiadań, tworzących epos bohaterski z czasów panowania pierwszych Rurykowiczów w Kijowie, dla którego ustaliła się, wbrew rzeczywistości, nazwa Eposu bylin. Opowiadacze wypadków tego okresu („skaziteli”) nie znają zupełnie wyrazu bylina, ale opowiadania swoje nazywają wprost starina, starinka, starinuszka. Nazwa „byliny” jest sztuczną, książkową, wziętą przez wydawcę ich Sacharowa z *Pieśni o pułku Igora*, gdzie użyta została w znaczeniu opowiadań dzisiejszych, współczesnych (po bylinam scho wremieni). Ale historyczności tych opowiadań (skazaniej) zaprzeczć się nie da.

OSTATNI DŹWIĘK

(WRAŻENIE Z OTWARCIA SEJMU)

... i siedł jeszcze po świetle ton starego dzwonu, który przed wiekami zawisł u szczytu zamczyska i dzwonił przeżywaną chwałą i dzwonił pamięć przeżytej chwały i dzwonił dni klęski, dni żaloby — a dzwonił zawsze jednakim dźwiękiem

... i siedł jeszcze po świetle ton starego dzwonu... szło dzwonu wspomnienie zawisłe gdzieś u szczytu rumowisk zszarpanych tępym czasu zębem, chwiejnych ostrym wichrów podmuchem, podmytych u fundamentu powodziami łez pokoleń, zczerniałych skrzepłej krwi osadem

... i siedł jeszcze dnia onego ton starego dzwonu...

Resztkami sił starczych wstępował ostatni potomek senatorskich rodów, iżby ostatnie usłyszał drgnienie rozkołysanego ongi, dziś rozmodlonego w sobie dzwonu odwiecznych rumowisk.

Słuchał... zdawał się nawet słyszeć tony zaginione, których nikt już nie słyszał... i w tem rozkołysaniu wstępował starzec książęcy na senatorów sejmowe wywyższenie.

Sędziwy wiek księcia wywyższył go raz jeszcze nad Naród młodzieńczy, iżby zadzierżgnięty był węzeł zerwany niewoli wiekiem... raz jeszcze — z woli Wodza Narodu młodego. Ten zasię stał ponad lud wywyższon niby śpiżowe znamię mocy, woli, czynu.

A głos jego, mieczów skrzyżowanych twardy dźwięk, rozpruwał by najtwardsze, by najbardziej w skamieniałość przeszłości darował serca i toczył strumienie krwi serdecznej a życie dawał niewolą zdrętwiałemu Narodowi...

... i siedł do dźwięku tego cichy starego dzwonu ton, co to jednakowo wydzwania trjumfu pieśń i jednakowo pieśń żaloby... siedł cichy, niepewny i zginął gdzieś pośród stali dzwoniącej pieśń nową.

Sędziwy senatorskich rodów ostatni potomek ostatnim wysiłkiem wstąpił na wywyższenie, — zię sta żywy Posąg - Wódz - Naczelnik.

Prawicę żywego rycerza wyciągnął Wódz ku starcowi. — Księżę drżący uściśnął dłoń Wodza.

I siedł przez świat ton starego dzwonu, który przez wieki wydzwaniał chwałą narodu i jego niewolę, a zawsze dzwonił jednakowo, — siedł ton miniony i zgubił się gdzieś wśród dźwięku mocnych słów śpiżowego rycerza, który ścisnął oto przeszłości drżącą dłoń.

... i minął ton starego dzwonu a skruszał ostatni rumowisk głaz, którego szczątki odpłynęły gdzieś wraz z ostatnią łzą ostatniego potomka senatorskich rodów.

J. H.



Dziękuję oryg. — J. J. Wroniecki.

MISCELLANEA

NIECO O GAZETACH I CZYTANIU GAZET.

Z „Neubuddhistische Zeitschrift“

Najlepiej, nie czytaj gazet wcale. Jeśli je jednak czytasz, czytaj dwie, lecz bez uprzedzenia.

Z gazet, które czytujesz, czytaj jak najmniej. Czytanie gazet osłabia pamięć, jak często zmieniające się obciążenie osłabia elastyczność sprężyny. Człowiek z słabą pamięcią niepełnym żyje życiem.

Najwyżej stałby człowiek, naród, któryby gazety już nie potrzebował, najniżej człowiek i naród, któryby gazety jeszcze nie potrzebował. Zarówno człowiek bez potrzeb duchowych, jak i ten, który sam sobie duchowo wystarcza, gazet nie potrzebuje.

Nie obawiaj się, że rzeczywiście ważne rzeczy ominą cię, i nie poznasz ich, gdyż gazet nie przeczytasz. I bez gazet dosyć się dowiesz, aby nie stracić kontaktu ze światem.

Nie martw się, gdy o pewnych zdarzeniach dowiesz się nieco później. To, co straciły na świeżości, zyskają na pewności. Co dziś jest prawdą, i jutro i za rok też prawdą będzie. Co dziś skłamanie, może już jutro okazać się kłamstwem, a wy oszczędzicie sobie zbytecznego o to gniewu. Cóż za cel, robić węzły na to, by je jutro rozwiązywać.

Nie bądź podejrzliwym, lecz powolnym w wierze, zwłaszcza w stosunku do gazet. Jest to kodeksem honorowym prasy codziennej, dbać, by tyle się w świecie zdarzyło, aby zapełnić przynajmniej cztery strony.

Winę za brak zaufania ponoszą gazety codzienne tylko w jednej trzeciej. Drugą część ponoszą czytelnicy, trzecią wreszcie charakter wypadków codziennych. Każde zdarzenie, wywołujące się świeżo z fermentów rzeczywistości, jest wieloznaczne. Złoto i tombak, gdy narzędziona, tak samo wyglądają. Dopiero przy przerabianiu i w użyciu różnią się.

Bez pewnego wewnętrznego zasobu jest się bezbronnym w stosunku do prasy codziennej i pełnym obawy, by nas nie przyniosła, jako ciało ludzkie przez naciąg atmosfery przyniesionym by być mogło, gdyby mu nie przeciwstawiło naciśku z wewnątrz siebie. Trzeba poznać istotę rzeczywistości, jak buddyzm ją uczy, by mózg ocenić rzeczywistość wartość gazety.

Gazeta ma w rzeczywistości dwa tylko zadania: po pierwsze, pośredniczyć w popycie i podaży, po drugie, rozpoznać wiadomości. Objasnianie i przerabianie zdarzeń pozostawić się winno czytelnikowi. Zamiast tego jednak uważa gazeta za swój obowiązek wyrażać opinie. Zamiast być narzędziem wykształcania, jest narzędziem ducha partyjnego.

Człowiek rozsądny czyta gazetę nie z ciekawości, lecz z świadomości, by spełnić obowiązek względem siebie samego. Tak samo, jak człowiek rozsądny nie je dla żądzy używania, lecz dla świadomości spełnienia obowiązku względem siebie.

Gazety nie są miarą kultury. Bywały epoki wysokiej kultury, np. starogreckiej i rzymskiej, które w praktyce wolne były od gazet. Bywały i równie wysokie kultury, np. chińska i babilońska, które się zdawały gazetą w wysokim posługiwaniu stopniu.

Gazeta nie jest niczem więcej, jak narzędziem kultury. A czy narzędzie jakie służy dobru lub złu, nie od niego zależy, lecz od zastosowania.

Nam dzisiaj wyrosły gazety ponad głowę. Nie jest to winą ich olbrzymiego wzrostu, lecz raczej skarlania uczucia indywidualnego nowoczesnych ludzi.

Niesamodzielność i chęć zysku czynią nas niewolnikami gazet.

Gazety, to najpewniejszy środek, oddalania nas od nas samych, wiedzący nas we wszystkie kąty całego świata, lecz tylko nie w nas samych.

Lekarze za mało zakazują czytania gazet. Tak, jak w danym razie zakazują tytoniu i alkoholu, tak powinni i w danych razach zakazywać czytania gazet, i to częściej znacznie, niż to dotąd czynili.

Spróbuj od czasu do czasu, dobrowolnie żyć bez gazety. Dobrze ci z tem będzie. Ten, kto to pisze, przez lat kilka żył bez gazet, i dobrze się czuł przytem.

Wtedy się okaże, czy człowiek posiada zasoby wewnętrzne, czy sam sobie wystarczyć zdoła, czy też potrzebną mu będzie prasa codzienna do duchowego życia.

Człowiek nowoczesny, jak w stosunku do wyżywienia sam sobie nie starcza, tak i w obrębie duchowym. Jak do życia w komforcie potrzebuje produktów z całego świata, tak samo potrzebuje i nowości codziennych całego świata.

Im więcej dany czas posiada, a im mniej reprezentuje, tem większą w nim rolę grają gazety.

Jak religia, okazuje i gazeta właściwą swą wartość dopiero podczas wojny.

Nie ufaj nienawiści szerzącej gazetce, jako i nie ufasz religii takiej. Nienawiść zawsze jest małostkową, a małostkowość jest z wszystkich przewodników najgorszym.

To złe w gazetach codziennych, że właśnie przy najważniejszych zdarzeniach nie służą jako tuba, lecz niby rodzaj ekranu, na który rzucają zdarzenia jako sylwetki. Człowiek rozsądny wie o tem, ocenia według tego wartość zdarzenia i szuka w spokoju reżysera tej gry. Powszechnie jednak bierze się wszystko za rzeczywistość z pierwszej ręki i oszczękuje obrazy na ekranie, jak zbudzony mops, rozmaicie, czy to z wściekłością, czy z pochlebstwem. Pozostawmy widzowie paciliby dużo, by mózg oglądać tę komedię.

Rzeczywistość tak się wytworzyła, że prawda i sprawiedliwość zawsze poplaczają. I gazety powinny to pojąć.

Jednostronność jest istotą trabantów, tak duchowych, jak i cielesnych; jak i księżyc ku widzowi też zawsze tylko jedną stroną zwrócony. Gazeta jednostronna nie służy ogółowi, lecz jest trabantem jednej partii.

Oznaki i rozkwit każdej prawdziwej kultury, to tolerancja. Ta zaś, to zdolność wmyślenia się w stanowisko innych, przyciem każdemu nie trudno poznać, że powód działania u niego i owego człowieka, tenże jest sam: egoizm. Zmienieć: „Milujcie nieprzyjaciół waszych“ na „Zrozumcie nieprzyjaciół waszych“, a więcej się przyczynicie do pokoju światowego, niż najenergiczniejsem pacyfizmem, a co najważniejsze, będziecie w możności lepiej praw waszych bronić, niż przez ślepe nienawiść. Gazeta, któraby zadanie swe w ten pojęta sposób, by służyć wzajemnemu zrozumieniu, mogłaby stać się kapłanką nowej religii.

Redaktor naczelny i odpowiedzialny: Jerzy Hulewicz, Kościanki. — Przedstawiciel redakcji w Warszawie:

Jan Śliwiński, ulica Flory 9. — Nakładem Spółki Wydawniczej „Ostoja“ w Poznaniu.

Wszystkie prawa autorskie, przekładu oraz reprodukcji zastrzeżone. Copyright by „Ostoja“ Poznań.

Odbito w tłoczni „Pracy“ w Poznaniu.

Oryginalne drzeworyty i akwaforty

Artystów: **Jerzego Hulewicza, Małgorzaty Kubickiej, Stanisława Kubickiego, Stefana Szmaja, Władysława Skotarka, Jana Wronieckiego, Augusta Zamoyskiego**



nabyć można za pośrednictwem naszym



REDAKCJA „ZDROJU” — Poznań, Plac Wilhelmowski 17

„POLSKA”

PISMO TYGODNIOWE Z OBRAZKAMI,
POLITYCZNE, SPOŁECZNE, OŚWIA-
TOWE, GOSPODARCZE, SPRAWOM
LUDU POLSKIEGO POŚWIĘCONE.

Prenumerować można wprost z redakcji:

Warszawa, ul. Hortensji, Nr. 7, m. 21.

oraz

na wszystkich pocztach w okupacji **niemieckiej.**
(Skrzynka pocztowa No. 64).

PRZEDPŁATA wynosi rocznie 10 mk. półrocznie 5 mk., kwartalnie 2 mk. 75 fen. miesięcznie 1 mk. w okupacji **niemieckiej**, a 15 koron rocznie, 7 kor. 50 hal. półrocznie, 4 kor. kwartalnie i kor. 50 hal. w okupacji austriackiej.

„SPRAWA POLSKA”

Tygodnik polityczny
:-: i społeczny :-:

Cena zeszytu **60 fen.**

Prenumerata kwartalna **6 mk.**

**ADRES REDAKCJI i ADMINI-
STRACJI: ulica Szkolna 3., I. p.**

MASKI Czasopismo ilustrowane, poświęcone literaturze, sztuce i satyrze :-: :-: :-:

Wychodzi 1. 10. i 20. w miesiącu — — Adres Redakcji i administracji: **KRAKÓW, Wojska 19**
Prenumerata z przesyłką: kwartalnie 20 kor. — półrocznie 35 kor. — rocznie 75 kor.

Druk nowej powieści K. Tetmajera p. t. „Walka”, cykl „Listów ze wsi Wł. Orkana. Z dniem 1. lipca druk cyklu nowel tatrzańskich K. Tetmajera, które obejmą nowy VIII. tom „Skałnego Podhala.”

Na Poznań i W. Ks. Poznańskie główne zastępswo sprzedaży „Maski”
objęła Księgarnia A. Cybulekiego w Poznaniu.

S. KALAMAJSKI, Plac Wilhelmski 2.

Dla Pan		Dla dzieci		Dla panów	
Bluzki	Pończochy	Sukienki	Torebki	Skarpety	Szelki
Gorsely	Rękawiczki	Trykoty	Koźnierzyki	Rękawiczki	Trykoty
Halki	Koźnierzyki	Fartuszy	Kapelusze	Krawaty	Parasole
TOWARY KRÓTKIE — KORONKI — WSTAŻKI.					

Wielkie Sale Wystawowe

znajdują się teraz

przy ul. Berlińskiej 10 wysoki parter
Antykwariat - Stała wystawa obrazów.

K. ANDRZEJEWSKI, POZNAŃ, ul. Berlińska 10 w. p.

„OSTOJA“ Spółka Wydawnicza

Tel. 5100. w Poznaniu, pl. Wilhelmski 17. Tel. 5100.

Opuściły prasę najnowsze wydawnictwa nasze:

T. KONCZYŃSKI: Blaski miłości — powieść mk. 7,50

M. SCHEFFS: Ziemstwa Kredytowe i Kredyt
Rolniczy w Dzielnicy Pruskiej mk. 9,—

CZ. ANDRZEJEWSKI: Żywiół niemiecki
w Zachodniej Polsce mk. 3,60

I. W. KOSMOWSKA: Libelt jako działacz
polityczny i społeczny mk. 2,70

ZAKŁAD OŚWIETLANIA

LOUIS PERLS,

POZNAŃ, ul. Berlińska 18. (Teatr Polski).

Telef. 3133

Telef. 3133.

Nadzwyczajny wybór

wykwintnych przedmiotów do oświetlania
elektrycznego, gazowego i okowicianego
w wytwornem i skromnem wykonaniu.

Aparaty do gotowania i ogrzewania

Bracia Kiwi

Tel. 2947 Poznań, ul. Wiktorji 9 Tel. 2947

Cieszący się najlepszą renomą
magazyn stylowych wielkopańskich
urządzeń mieszkalnych.

⋮ ⋮ Najwyższa sprawność. ⋮ ⋮

Fortepjany, pianina i harmonja.

Jak wiadomo, tylko fabrykaty pierwszorzędne,
także Bechsteina, Borduxa, Steinwaga, Schiedmayera, Hinkla, Horügla, Burgera itd.

Karol Ecke w Poznaniu, ul. Wiktorji 19
założ. 1843

Berlin-Drezno. Najwięk. i najstarszy magazyn. Katalogi bezpłatnie.

